

JANUSZ

KORCZAK

124

~~1215~~

JÓZKI

JĄŚKI



II RANKI

1215

h. czerony

66
BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr. 1245

JÓZKI, JAŚKI I FRANKI

Ok
~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 1215~~

93/18 1/11 30

TEGOŻ AUTORA:

**BANKRUCTWO MAŁEGO DŻEKA
FERALNY TYDZIEŃ
KROL MACIUŚ PIERWSZY
KRÓL MACIUŚ NA WYSPIE BEZLUDNEJ
MOŚKI, JOSKI I SRULE
S Ł A W A**

**BEZWSTYDNIĘ KRÓTKIE
DZIECKO SALONU
JAK KOCHAĆ DZIECKO I
Dziecko w rodzinie
JAK KOCHAĆ DZIECKO II
Internat—Kolonje letnie—Dom sierot
KIEDY ZNÓW BĘDĘ MAŁY
PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU
SAM NA SAM Z BOGIEM**

Janusz Korczak

Józki, Jaśki i Franki

Ala
~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
WYDANIE TRZECIE
Nr. 1275~~



WARSZAWA—MCMXXX—KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Książka ta została polecona przez Komisję do oceny książek przy
Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego
dla bibliotek szkolnych i dla młodzieży.



Kor
yż.

1215

8-93



884-93 + 37.01

821.162.1-93

SN 17913

DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA II.

BARDZO KRÓTKI WSTĘP

Niedawno ukończyłem opowieść o Mośkach, Józkach i Srulach. Wszystko, co robili chłopcy żydowscy w Michałowie, było tam dokładnie opowiedziane. Książka się podobała.

I jakże mogły się nie podobać ciekawe przygody aż stu pięćdziesięciu chłopców na wsi?

Opowieść o Józkach, Jaśkach i Frankach zapewne będzie jeszcze ciekawsza.

Po pierwsze las w Wilhelmówce jest wielki więc chłopcy zbierają jagody i grzyby, a z gałęzi budują szałas. — Z szałasów tych dwie powstały osady: Miłosna i Łysa Góra.

Po drugie, obok Wilhelmówki jest kolonia dla dziewcząt, Zofjówka; a stąd wiele ciekawych zdarzeń, jak na przykład napad na domek Paulinki. — Bo i w Wilhelmówce jest stu pięćdziesięciu chłopców, a między nimi, jak się łatwo domyśleć, nie brak porządnych łobuzów.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podróż. — Nudne opowiadanie, którego nie warto słuchać. — Ot, jutro będzie wesoło.

Pierwszy rozdział „Mozków” poświęcony był opisowi, jak zbieraliśmy się na dworcu, ustawili w pary, jak rodzice żegnali się z dziećmi, jak wreszcie ruszyliśmy w drogę.

Tam dozorca wywołuje z kajetu:

— Frydman, Miller, Grinbaum, Bromberg.

A tu:

— Kowalski, Górski, Frankowski, Trelewicz.

Pozatem wszystko tak samo.

W wilję podróży zbierają się chłopcy w biurze na Świętokrzyskiej; bada ich lekarz, szewc przymierza kolonijne obuwie, fryzjer strzyże, gdy kto ma zbyt długie włosy. W dzień wyjazdu tak samo dozorca ustawiają ich w pary i po dzwonku prowadzą do wagonów.

Dozorca i tu zapytuje:

— Czy kto z was worka nie zgubił? — Nie wychylajcie się z okien.

A chłopcy tak samo pchają się w wagonie do okien, wołając:

— Odsuń się, to moje okno. Nie pchaj się, bo ci po łbie nakładę.

Inaczej w powrotnej drodze, kiedy wszyscy już dobrze się znają. Wtedy każde okno zajmuje grupa przyjaciół i wzajemnie sobie ustępować będą:

— Ty teraz trochę popatrz, potem ja znów popatrzę.

I tu również chłopcy oddają pocztówki, żeby co tydzień pisać do rodziców, że dobrze się bawią; i tu podróży towarzyszą liczne i nadzwyczajne przygody. Jednemu węgiel wpadł w oko; kazali mu pluć, żeby węgiel wyleciał; gdy jednak to nie pomogło, dozorca rogiem chustki wyłowił węgiel z oka i chwalił się potem:

— A widzisz, a nie mówiłem żeby się nie wychylać; wiedziałem, że tak będzie.

Tomaszewski powiewał workiem dla uczczenia pastuszków, którzy kłaniają się albo język pokazują pociągowi; sąsiad pchnął go i worek wyleciał. Inny znów chustką do nosa zegnał mieszkańów Wołomi-
na, i chustka mu wyfrunęła.

— O wrony, wrony... Ooo, bocian...

I ani się domyślają, że obok na ławce siedzi Zygmunt Boćkiewicz, którego już jutro nazwą Boćkiem — bocianem.

— O, ule, ule!

I zaraz ktoś opowiada, jak poszedł do ula, kiedy był na wsi u stryja i jak go pszczoły pogryzły; mały był jeszcze wtedy i głupi.

— W Tłuszczu, gdzie pociąg się cofa przechodząc na inną linię, kolonijni bywalcy straszą nowicjuszków:

— Do Warszawy jedziemy, o, nazad wracamy.

A im bliżej Goworowa, tem częściej rozlega się niecierpliwe pytanie:

— Czy jeszcze daleko?

Bo ciekawi są zobaczyć kolonię, i każdy inaczej ją sobie wyobraża. Jeden myśli, że mieszkać będą na wsi w chałupach, drugi, że kolonia podobna do domu w Warszawie, i z długiego korytarza prowadzą drzwi do małych pokoików, gdzie sypiać będą po kilku razem. A już nikt nie wie, co to jest weranda, o której tyle słyszeli.

Leon Kopeć, którego Achcyk później nazywał Kopiejką, — poczuł głód srogi, Lewiński dał mu pięć obwarzanków; a Boćkiewicz zajada chleb z masłem i mówi trochę do siebie, a trochę na próbę i do dozorczy:

— Ja nigdy jeszcze nie jechałem koleją.

— A przyjemnie jechać koleją?

— Przyjemnie, — mówi Boćkiewicz i zajada chleb z masłem.

Mały Sulejewski, nie przeczuwając zgoła, że niezadługo będzie męznym kapitanem okrętu — popłakuje zcicha i nos rękawem wyciera: siostra przyrzekła, że na kolonję go odprowadzi, tymczasem poszła, samego zostawiła. Och, losie, losie!

— O, patrzcie, jaki owies.

— To żyto, ośle, nie owies.

— A ty co?

Pociąg z hukiem wielkim przez most przejeżdża — i zaraz ktoś zapytuje: „Jak się ta Wisła nazywa?”

Słupy wiorstowe liczą, spierają się, czy mila ma siedm, czy czternaście wiorst — i coby się stało, gdyby tak chłopak wyleciał.

— Stacja Goworów!

Malcy siadają na fure; starsi pójda pieszo, bo do Wilhelmówki niezbyt daleko.

Słońce zachodzi, chłodny wietrzyk wieje.—Dalej w drogę.

Kto ma w Zofjówce siostrę, albo kuzynkę, ten zapytuje, czy przechodzić będziemy koło Zofjówki i czy dziś jeszcze pójdziemy do dziewcząt.

— Czy dziś jeszcze dostaniemy kolonijne ubrania?

— Czy jutro listy będziemy pisali?

— Kiedy pierwszy raz wydadzą łopaty do kopania?

Bo o łopatach opowiadali chłopcy z poprzedniego sezonu.

Pytają się panów, ale jeszcze nieśmiało, ale tylko na próbę, żeby zobaczyć, czy się nie obrażą.

— Proszę pana, czy na kolonji są zmory?

— Zmory? Cóż to ma być takiego?

— A no, złe duchy.. Bo mówią, że kolonia jest w lesie, a w lesie są zawsze duchy.

— Nie, na kolonji niema złych duchów; są tylko dobre duchy, — wszystkie najłaskawsze i najdobrotliwsze. A w lesie są grzyby, poziomki, jagody — nie zmory.

Z boku, trochę na lewo od szosy, czerwieni się gmach murowany.

— Już?

— Nie, to dopiero Zofjówka; tam są dziewczynki. Wybiegły przed las i zdaleka powiewają chustkami.

— Wiwat! — krzyczą chłopcy.

Chętnieby się zatrzymali, ale w domu czekają z kolacją.

Jeszcze mostek, kawałek lasu, łąka, polanka. Jesteśmy.

— Patrzcie piecuchy: wyście na furach jechali — a myśmy pieszo przywędrowali.

Kolacja, modlitwa — umyć się z drogi i jazda do łóżek. A wtedy opowie się, co będzie jutro.

Siesznie się myją i raz wraz któryś daje nurka do łóżka — bo ciekawi, co też im pan o dniu jutrzejszym opowie. Spiesznie się myją i spiesznie kładą, bo się jeszcze nie znają i nic nie mają sobie do powiedzenia. Spiesznie idą do łóżek, bo jeszcze są skrępowani i grzeczni, bo to pierwszy wieczór dopiero.

Wprost nie wypada pierwszego zaraz wieczora wleźć pod łóżko i przechodzących łapać za nogi, albo ukryć się w szatni i udawać stracha, albo schować Tomkowi poduszkę, niby że mu ją skradziono.

— Czy wszyscy już leżą?

— Wszyscy.

— A więc zaczynam.

I zaczął pan opowiadać co będzie jutro.

— Rano hałasować nie wolno, dopóki nie wejdę na salę i nie powiem dzień dobry; ubrania wydamy,

ważyć was będziemy, paznokcie wam się obetnie, kolonię pokaze.

Potem pan zaczął coraz nudniej mówić:

— Trzeba sobie wzajemnie ustępować, nie bić się, przezwisk nie dawać, ubrań nie niszczyć, zwierząt nie męczyć, dziewczynkom nie dokuczać. — Zawsze w pierwszym tygodniu dużo broją chłopcy: i pocóż — czyż nie lepiej dobrze się sprawować?

Ale że to co pan mówi, nie jest zajmujące, a chłopcy zmęczeni drogą, — więc coraz mniej tych co słuchają, a więcej tych, co zasnęli.

Spostrzegł pan wreszcie, że wszystkich uspił długą przemową; poszedł do swego pokoju, tylko na wszelki przypadek zostawił okienko na salę otwarte.

A sosny już wiedzą, że nowa partja dzieci przyjechała i mówią:

— Ot jutro będzie wesoło.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minister w niebieskiej koszuli. — Już znają Boćka. — Kosieradzki dostał skąpą bluzę, a Zaremba dał dęba.

Godzina piąta rano. Po wczorajszej podróży zapewne śpią jeszcze wszyscy? — Jakbyś zgadł: już pół sali rozmawia, śmieje się, biega — niecierpliwie czeka na hasło rannego wstania.

— Ty gdzie mieszkasz? — Ty jak się nazywasz? — Ty który raz na kolonii?

Odbywa się ważna praca w tym szepcie, prze-
rywanym śmiechem: grupa rozgląda się po sobie,
zapoznaje z sobą, — na złe, czy na dobre?

Dylu—dylu na badylu,
Nie potrzeba smyczka.
Czarne oczy u dziewczyny,
Czerwona spódniczka.

Śnać piosenka się spodobała, bo rozlega się
śmiech głośniejszy.

— Chłopaki cicho, pana obudzicie.

No to co? Proszę pana, niech pan przyjdzie, co
pan tak długo śpi?

— Kukuryku, wstawajta chłopaki. Świeże bu-
łeczki czekają. Kukurykul!

Mocny sen pana, który nawet przez otwarte na
salę okienko nic nie słyszy, dobrze usposabia chłop-
ców. Zgadły sosny kolonijne: coraz weselej na sali.
Teraz się pojedynek na ręczniki odbywa: słysząc
głuche ich uderzenia.

— Poczekajcie, jak pan przyjdzie, to powiem,
że nie dajecie spać.

— Idź, powiedz. Patrzcie go: ubrał się w niebie-
ską koszulę i przewodzi. Minister: panu powie.

— Minister poczty.

— Lizuch! Skarżypyta!

Teraz jeden mówi półgłosem coś ciekawego
zapewne, bo cisza zaległa: słuchają. Na sali, powta-
rzam, odbywa się ważna robota, grupa zapoznaje
się z sobą i nie wiedząc wcale, już wybiera tych,

którzy jej przewodniczyć będą, — tylko czy w do-
brem, czy w złem?

— No, chłopcy, zaśpiewajcie; ja wam pozwalam.

— Cicho, bąki wilanowskie.

— Ty sam bąk

— Te, piąty tam przy drzwiach, czego spać nie
dajesz?

Ktoś goni się po sali, inny klaszcze w ręce.

— Patrzcie chłopaki, na dole jest karuzela.

Wszyscy biegną do okien, żeby karuzelę zobaczyć.

— Idź głupil To kierat od studni: konia się
wprzęga i wodę się kręci.

— A jakże: konia. — Może nie? — Widzisz, tam
ośka wisi, co się konia przyprzęga. To się nie ośka
wcale nazywa. — A jak? — Ja sam nie wiem. — Jak nie
wiesz, to nie gadaj. — A wiem, bo ośka jest przy kołach.

— Chłopcy, wróćcie do łóżek — ostrzega ktoś
przezornie. — Pan mówił, żeby nie wstawać, aż pan
przyjdzie i powie dzień dobry.

— Dziś pierwszy dzień, to wolno.

Niezupełnie jednak są przekonani, że wolno, bo
niechętnie wprawdzie, ale powracają do łóżek.

— Proszę pana, niech pan wstanie, nam się
przykrzy.

Trzy minuty trwa cisza, może zasną jeszcze?

Złudne nadzieje, — znów stanął któryś na środku
sali i mówi grubym głosem:

— Dzień dobry chłopcy, wstawajcie.

A inny, zapewne minister poczty:

Poczekaj, pana przedrzeźniasz. Wszystko panu
powiem.

Do szóstej brak wprowadzie dwudziestu minut, że jednak nikt nie śpi, a roboty pierwszego dnia dużo, więc można wcześniej rozpocząć.

— Dzień dobry chłopcy.

— Dzień dobry.

Otwierają oczy, podnoszą głowy, — oto spali przykładnie, a pan ich obudził. Zupełnie jak w powiastce dla grzecznych dzieci. — Ach, jaki ten pan głupi, że niczego się nie domyśla.

— A który to z was jest ministrem w niebieskiej koszuli?

Piorun z jasnego nieba! Pan udawał, że śpi i wszystko słyszał. Co będzie teraz? Okropne, przerażające. Sam nawet minister poczty się stropił.

Ale pan się śmieje. Wszystko słyszał, a śmieje się. Wszystko słyszał i wcale się nie gniewa.— Pan chodzi po sali wesół, trjumujujący, jak Napoleon po wygranej bitwie: jednym udanym atakiem zdobył zaufanie dzieci, bez którego nietylko książki o dzieciach napisać nie można, ale nie można ani ich kochać, ani wychowywać, ani dozorować nawet.

Ośmiu chłopców, którzy śpią przy oknach będą dyżurnymi okien: obowiązkiem ich okna rano otwierać. Ci, którzy najlepiej łóżka pościelą, będą dyżurnymi łóżek, — po jednym na każdym z pięciu rzędów.

— No, wstawać i myć się porządnie, bo będę uszy oglądał.

Zygmunt Boćkiewicz przeciąga się leniwie i zapytuje sennym głosem:

— Czy ja mam także wstać? Bo jabym jeszcze trochę pospał.

Zbiegło się pół sali, by obejrzeć chłopca, któryby jeszcze trochę pospał, — już wiedzą, jak się nazywa, — już Boćkiem go przewali — już Achcyk, przyszedł woźny kolonijnego sądu, wyraża przypuszczenie:

— On bocian, to pewnie się żabów najadł i taki teraz ciężki.

A Łazarkiewicz poprawia poważnie:

— Nie mówi się: żabów, tylko żab.

Kiedy pół sali skupiło się koło Boćka, drugie pół sali czeka ciekawego opowiadania Olka Ligaszewskiego. Obok Olka śpi Wiktor. Budzi się w nocy Olek, patrzy, a tu niema kołdry — i zląkł się; myślał zapewne, że kołdra wyfrunęła przez okno, jak chustka do nosa z pociągu. Zaczyna budzić Wiktora; Wiktor patrzy, a jego kołdra leży po drugiej stronie łóżka. Kołdra spaść musiała, a on był zaspany, ściągnął kołdrę z Olka i sam się w nią owinął.

— A ja, proszę pana, spadłem w nocy z łóżka.

— A mnie, proszę pana, komar ugryzł.

— To musiał być wściekły komar, proszę pana, bo mu taki duży bąbel wyskoczył.

Biegną do umywalni, gdzie są dobre i złe krany, w złe krany dmuchają, żeby więcej wody leciało.

— A moje uszy czyste, proszę pana?

— A moje czyste? Eee, pan jemu długo uszy oglądał, a mnie tylko tak po łebku.

— Och, jak mi mokro w uszach, — wzdycha ktoś, otrząsając się srodze.

Teraz każdy staje po prawej stronie łóżka, do zorca rozdaje bieliznę, potem spodnie z szarego płótna, wreszcie szelki i bluzy.

— Oo, szelki z knota zrobione.

— Oo, jaka luźna dziurka.

— Proszę pana, — mówi smutnie mały Kosie-radzki ze łzami w oczach, — ta bluza na mnie za skąpa.

Zaremba nie czekał na bluzę, bez bluzy i czapki poleciał na werandę. Sprowadzono zbiega, a pan taki czterowersz ułożył:

Łobuz wielki imć Zaremba:

Złapał szelki i dał dęba.

Wiersz spotkał się z uznaniem, nie mniejszem, niż chustki do nosa.

— O, chuski w tym roku ładniejsze, bo ze szlakiem.

— A moja bez szlaka.

— Ale twoja większa.

— Chcesz, zamień się. — A twój jaki szlak? — Niebieski. — Ja chcę czerwony. — Idź głupi: niebieski lepszy. — A nie, bo czerwony. — A najlepiej bez szlaka.

Trąbka wzywa na modlitwę poranną.

— Na werandę — brzmi komenda.

Dyżurny sali zamyka drzwi na klucz.

ROZDZIAŁ TRZECI

**Nieudana próba. — Pan zatrąbił, pan zatrąbił.
Pamiętnik chłopca i podpis z zakrętasem.**

Kiedy zaproponowano chłopcom pisanie pamiętników i zapowiedziano, że tym, którzy je pisać zechcą, wydane zostaną kajety, — wielu znalazło się chętnych.

— Ja chcę pisać, proszę pana. — I ja. — I ja także.

Zaczynało wielu, nie wszyscy jednak umieli; a ci nawet, którzy trochę umieli, — pisali parę dni, potem im się nudziło i przestawali.

Zanim kto kajet otrzyma, musi na kartce opowiedzieć na próbę, jak spędził dzień jeden.

Oto nieudana próba Antosia:

„Jak rano wstałem, pan zatrąbił i zmówiłem pacierz, potem pan zatrąbił i zjadłem śniadanie, potem pan zatrąbił i poszliśmy do kąpieli, potem pan zatrąbił i był obiad, i pan zatrąbił i poszliśmy do lasu”.

— Idź głupi, — zgromił go kolega — pan ci nie da kajetu. Nic nie piszesz tylko: pan zatrąbił, pan zatrąbił.

— A jak mam pisać?

— Jak nie wiesz, to nie pisz, a na pośmiewisko się nie narażaj, widzisz.

Potem chłopcy najbardziej się wystrzegali, żeby w pamiętniku nie było za dużo: pan zatrąbił.

Wielu chłopców pisać zaczynało. Franek Przybylski, Chabelski Zygmunt, Karaśkiewicz, Fabisiak, Piechowicz, Gryczyński Czesio, Olek Suwiński, — tle ten został burmistrzem, ów kapitanem okrętu, trzeci sędzią lub prezesem jednego z licznych towarzystw, — i do końca dotrwali tylko: Troszkiewicz i Łęgowski.

Zamieszczę tu kilka urywków pamiętnika dla tych chłopców, którzyby chcieli kiedyś też pisać, — by ich ustrzec od zbyt częstego i fatalnego: „pan

zatrąbił”, — co jak wiadomo, naraża autora na pośmiewisko.

Wybieram, rzecz jasna urywki najciekawsze.

*

Mój pamiętnik. Wrażenia z pobytu na kolonji w Wilhelmówce.

Pierwszy dzień na wsi tak spędziłem.

Wyjechaliśmy z Warszawy we czwartek o godzinie 6 po południu. Jechaliśmy koleją do Goworowa, a potem szliśmy, a młodszy jechali na furach. W Wilhelmówce pan ustawił nas w pary, i posadził na ławki, żebyśmy zawsze tak siedzieli i rozdano kolację. Po kolacji pan zaprowadził nas na górę do sypialni. Grupa A i B śpią na dole, a grupy C i D śpią na pierwszym piętrze: Grupa E śpi na różnych salach, bo są tylko cztery sypialnie. W każdej grupie jest 30 chłopców. Na sali pan pokazywał każdemu z nas łóżko, dla mnie wybrał także jedno łóżko i położyłem się, a pan chodził po sali i mówił czego nie wolno robić i jak kto ma zmartwienie, żeby przyszedł do pana. Potem nie mogłem zasnąć ale zasnąłem.

Na drugi dzień umyłem się, ubrałem, posłałem łóżko i poszliśmy na werandę. Po paru minutach, kiedy się już wszyscy zebrali, klękliśmy przed ołtarzem, który jest na werandzie i zmówiliśmy pacierz a potem śpiewaliśmy: Kiedy ranne wstają zorze. Potem dyżurni rozdali chleb i mleko. Po śniadaniu pan ustawił nas w pary i pokazywał granice kolonji, dokąd wolno się bawić i chodzić. Po obiedzie

poszliśmy do lasu, ale dziewczynki nie przyszły, bo od nich jest dalej, więc się bały, że będzie deszcz.

Potem graliśmy w palanta, a po kolacji umyłem nogi i jak już wszyscy leżeli, pan opowiedział historję trzech łózek, kto na nich spał przedtem.

I to jest próba mojego pamiętnika.

Sobota.

Dziś byliśmy w kąpieli. Później, jak kto umie pływać, będzie się mógł kąpać koło łazienki, żeby mógł pływać.

Potem razem z Wojdakiem robiliśmy domki z piasku i mosty zwodzone, ale chłopcy nam przeszkadzali i psuli, więc przyglądaliśmy się jak robią inni.

Po obiedzie grałem w warcaby, ale chłopcy zaczęli krzyczeć, że chodźcie, bo pan puszcza ogromnego latawca. Pan A. puścił go wysoko i świetnie szedł, bo był duży wiatr, a potem puszczaaliśmy pocztę do latawca, ale deszcz zaczął padać więc go pan ściągnął, żeby płótno nie rozmokło.

Potem na werandzie był sąd na chłopca, że męczył żabę.

Niedziela.

Dziś jest niedziela. Ołtarz był ładnie ubrany i ławki były poustawiane; zaraz przyszła Zofjówka i widziałem się z Helenką.

Potem przyjechał ksiądz i odprawił mszę, i dziewczynki jadły u nas drugie śniadanie.

Po obiedzie poszliśmy z podwieczorkiem do lasu i pan opowiadał nam bajki, jedną śmieszną, a drugą o królewiczu, i czytałem książkę.

Po śniadaniu pan B. ma z nami śpiewy, i nauczyłem się piosenki:

Dni wiosenne zawitały
Słonko jasne, piękne świeci.
Skowroneczek, ptaszek mały
Z ciepłych krajów do nas leci.
Za skowronkiem, mości panie
Przylatujesz, mój bocianie,
A za boćkiem, jaskółeczka,
Za jaskółką, kukułeczka.
I słowiczek ulubiony
Śpiesznie ciągnie w nasze strony.

Potem była kąpiel, a po obiedzie zbierałem gałęzie i zaczęliśmy budować szałas, który pierwszy raz w życiu robię, więc udał się niebardzo.

*

Po śniadaniu były śpiewy, a potem pan poszedł z nami do lasu i stawiał stopnie ze sprawowania i pytał się komu tu jest dobrze i komu źle. Potem nazbieraliśmy dużo gałęzi i zbudowaliśmy szałas, który się udał.

Potem znów byliśmy w lesie i jedna dziewczynka, którą nazywają Kropoleczka, ładnie deklamowała.

Po podwieczorku grałem w palanta i zarobiłem dwie mety, a potem położyłem się, żeby trochę odpocząć, ale zasnąłem i tak mocno spałem, że nie słyszałem trąbki na kolację, lecz się obudziłem i jeszcze zdążyłem.

Po obiedzie, który się składał z zupy, kaszy z pieczenią i chleba, dostałem łopatę i robiliśmy z Ligaszewskim wały przy szalasiu.

Po deszczu było w lesie dużo grzybów, ja znalazłem dwa prawdziwe i trzy maślaki, i w lesie jeden chłopiec zginął, ale się znalazł. A potem rozmawialiśmy o wypadkach.

Wczoraj zapomniałem napisać, że były sztuki magiczne i dwa grosze zamieniły się na czterdzieści groszy.

Tak spędziłem dzień wczorajszy.

*

Nauczyłem się dużo ładnych piosenek i taką:

Ja tratwę z liści zrobię
Zobaczysz śliczną rzecz.
Popłyniem z wodą sobie,
Aż het, daleko precz.

Wczoraj była wielka zabawa w Zofjówce i teatr. Roztworzyła się kurtyna i była matka chora i miała trzy córki. Przyszedł starzec prosić o gościnność, i one go zapytały, jak uzdrowić matkę i staruszek kazał przynieść wody z lasu.

W drugim akcie przyszły dwie córki do lasu, ale potwór je przestraszył i uciekły. Potem przyszła trzecia córka i koło niej aniołowie. Potwór wyszedł z wody i powiedział: nie dam ci wody, dopóki nie zostaniesz moją żoną. Ona się zgodziła, wzięła wody i poszła do domu.

W trzecim akcie przychodzi królewicz i chce się zenić z tą córką. Bo ten potwór w lesie to był z czarowany królewicz.

*

Dużo jeszcze ciekawych rzeczy mieściło się w pamiętniku, a na ostatniej stronie było starannie napisane:

„Koniec całego kajetu, zapisanego pamiętnikiem, co robiłem na kolonji, co widziałem i co słyszałem“. I podpis autora z wielkim zakrętasem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Duże troski małych dzieci. — Wacek już nie mówi „szczeniaku“. — Święte łyzy i towarzystwo opieki nad samotnymi.

Pamiętacie zapewne, jak w Michałowce tęsknił do domu Lewek Rechleben; jak się miły Prager rozplakał, gdy przypomniał sobie, że ojcu grozi zesłanie na Syberję; jak ktoś inny zapytywał w liście czy brat już znalazł pracę i czy zarabia.

Niejedną troskę serdeczną noszą w duszy te dzieci, które pozornie tak wesołe i uśmiechnięte, witają las i łąkę, gwarne zabawy, jagody, śpiewy i kąpiel.

Prawda, Stefku — prawda, Władziu, Olesiu, Karolku, — czasem małe dzieci mają duże troski?

*

Stefek Trelewicz zostawił w Warszawie małego Wacka. Wacek ma cztery lata i wszyscy go bardzo kochają. Czasem ojciec da małemu Wackowi dwa grosze, Wacek zaraz nogi za pas i biegnie do skle-

piku po karmelki albo czekoladkę. A sklepik jest po drugiej stronie ulicy, a przez ulicę tramwaj elektryczny przejeżdża. Mały Wacek wpaść może pod tramwaj. Niedawno w sąsiednim domu też tramwaj dziewczynkę przejechał. Kto teraz pilnuje małego?

Tatusz o siódmej rano wychodzi, bo służy w sklepie z futrami, musi sklep wcześniej otwierać; mama także dzień cały zajęta, — kto teraz małego pilnuje?

Płakał Stefek przez dwa wieczory, trzeciego wieczora płakać nie zdążył, bo zasnął, potem list z domu dostał i już się pocieszył. Tylko prosi, żeby mu pan osobno mówił dobranoc, bo w domu go tatuś zawsze na dobranoc całuje i prosi, żeby Lutek także przychodził mówić mu dobranoc, bo Stefek ma w grupie C brata Lutka.

Kiedy pierwszy raz przyszedł Lutek z grupy C na naszą salę, zaczęli go chłopcy wyganiać:

— Oo, proszę pana, cudzy się kręci. A sio, a sio!

— Co to ja kura — oburzył się Lutek — żeby na mnie — a sio — wołać?

— To nie cudzy — a Stefka brat.

— Ale nie z naszej sali.

— To co? on przychodzi Stefkowi dobranoc powiedzieć.

I Lutek, chociaż cudzy, bo z grupy C, przychodzi co wieczór Stefkowi dobranoc powiedzieć, i Stefek już się nie boi o małego...

Tęsknił do domu Krawczyk, dopóki do Zofjówki nie poszedł i nie przekonał się na własne żywe oczy, że w Zofjówce naprawdę jest siostra i że się z nią będzie mógł często spotykać.

Smutny jest i Kowalski, bo za tydzień będzie u nich w Warszawie wesele, będą goście, muzyka i tort z cukierni, a on tortu nawet nie skosztuje.

*

Władek Szawłowski martwi się o matkę.

— Mama będzie musiała sama ojciu obiad zaność, bo siostra także wyjechała na wieś, do stryja.

— No i cóż w tem złego? Będzie mama ojcu obiad nosiła, — przecież obiad nie taki znów ciężar.

— Pewnie, że nie ciężar, ale do fabryki daleko, a mama na nogi choruje i często głowa ją boli.

Władkowi się przykrzy. Myślał, że kolonje to jakaś szkoła, że się tu dużo nauczy, a gdy do Warszawy wróci, zacznie zarabiać, i mama nie będzie pracowała tak ciężko. Bo jak mama pierze, nogi jej puchną i głowa ją boli.

*

Nie każdy powie odrazu, czemu smutny, dlaczego płacze.

Wacek płacze. — Dlaczego? — Ząb go boli. — Z pewnością w zębie jest dziura, można mu watę z kroplami w ząb włożyć. — Nie, nie chce: ząb go nie boli, tylko głowa. — Są w kolonijnej aptece proszki na ból głowy. — Kiedy tak, powie już prawdę: nic go nie boli, tylko chce wrócić do domu, bo mu się tu niepodoba.

I to jednak nie było prawdą. Wacek skłamał, bo nie chciał ojca własnego obmawiać. — Podoba mu się kolonja, ale Wacek ma ojca pijaka.

W dzień wyjazdu ojciec się strasznie z mamą pokłócił, bo mama chciała odprowadzić Wacka na dworzec, a ojciec powiedział, że Wacek sam trafi, że go diabli nie wezmą. Jak mama wróciła z dworca, ojciec ją pewnie zbił. W zeszłym roku, gdy Wacek wrócił z Psar, mama leżała chora, tak ją ojciec pobił.

Gdy Wacek jest w domu, mamie wodę przynie- sie, izbę zamiecie, po ojca pójdzie, to ojciec się wstydzi i nie przepije pieniędzy.

Wacek jest niedobry, źle się uczy, nie zdał do trzeciego oddziału, z chłopcami się bije. — Ale na kolonji bardzo się poprawił: już nawet „szczeniaku“ rzadko kiedy powie i wtedy tylko, kiedy go bardzo kto zgniewa.)

*

(A czemu znów Olek płacze?

Olek jest jedynakiem, mama jego jest wdową; więc ani brata tramwaj nie przejedzie, ani mamy nikt nie ukrzywdzi.

Ale mama Olka nie ma na świecie nikogo — nikogusienko, a teraz, kiedy Olek wyjechał na kolonje, mama jest już zupełnie sama — samusieneczka jedna na świecie. Mama szyje koszule, tak długo w noc szyje; kiedy się Olek tylko obudzi, zawsze widzi jak mama siedzi i szyje. Mama jest taka dobra i taka biedna i nie ma nikogo, ale to nikogo na świecie.

Olek płacze, a każda łza Olka jest tak święta, jakgdyby w każdej łzie Olka był krzyż, a na krzyżu Chrystus bardzo smutny.

Prawda, że trzeba się starać, aby Stefkowi, Waczkowi, Olkowi i wszystkim dzieciom dobrze, wesoło było na kolonji?

To też się starają panowie, a nieocenione zasługi w tym względzie położyło towarzystwo opieki nad tymi, którzy nikogo nie mają.

Siedzibą towarzystwa jest szałas Bartyzka, Pogłuda i Dąbrowskiego na Łysej Górze.

Co parę dni zapytuje pan chłopców, czy wszyscy już mają przyjaciół, z którymi razem się bawią; bo zdarzyć się może, że ktoś jest nieśmiały, albo nie lubi biegać i dokazywać — i dlatego unika znajomości i nudzi się, choć wokoło tyle wesela i śmiechu.

I tymi właśnie, którzy nikogo nie mają, opiekowało się towarzystwo, — tam znalazł przytułek Kopka — sierota.

Właściwie Kopce zawdzięcza towarzystwo swe powstanie.

Karolek Kopka jest trochę głupi, jaka się i czasem mdleje. Ojciec jego jest stróżem, matka dawno umarła. Kopkę biją w domu; raz uderzono go w głowę, dziesięć dni chorował, a kiedy wyzdrowiał, zaczął się jąkać i nie był już tak mądry, jak przed chorobą.

I dlatego na kolonji nie bardzo chciano się z nim bawić.

Raz Kopka wyprosił sobie łopatę. Pan nie odrazu chciał mu dać łopatę, ale Kopka prosił, bardzo prosił. Łopata nie przyniosła mu szczęścia. Kiedy zobaczyli chłopcy, że Kopka taki bogacz, że dostał łopatę, zaraz się znalazło wielu przyjaciół, doradców, współników.

— Chodź Kopka, ja mam gałęzie, zbudujemy razem szałas.

Co było dalej, trudno wiedzieć, dość, że zabrano Kopce łopatę, nic mu wzamian nie dano; i zawlókł się biedak do szałasu Bartyzka, gdzie akurat nikogo nie było, tam położył się na posłaniu z trawy i zasnął splakany.

I przygarnięto Kopkę — sierotę, potem wzięto do siebie Kasprzyckiego, który ma krzywe nogi po angielskiej chorobie, i Siniawskiego — Dziadygę, który ma twarz przez ospę zeszeconą, wreszcie miłego Grudzińskiego, który zdala się trzymał od chłopców, bo go mama prosiła, żeby się nie zadawał z łobuzami, a on sam nie umie odróżnić, kto łobuz, a kto nie łobuz.

Kiedy w szałasie Bartyzka zawiązało się towarzystwo przyjaciół czytania, spokojny Grudziński, został jego prezesem, bo czyta płynnie nie tylko powiastki, ale nawet wiersze. — O tem się później obszernie opowie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przedhistoryczne czasy górki pod dziką gruszą. Niezawodny przepis na budowanie domków z piasku. — Narodziny, rozwój, zagłada.

Na górcie, koło dzikiej gruszy, w ubiegłym sezonie wznosiła się groźna forteca. Jakkolwiek już dwa tygodnie upłynęły od ostatnich bojów, i niejeden deszcz zmywał dumną twierdzę, — doskonale się

zachowały jej wały i rowy; widnieje jeszcze kopiec pułkownika Suchty, część pierwszego i cały fort drugi, i chłopcy uczą się dawać nurki z wałów i pływać tu na piasku.

I tu oto, na polu krwawych walk, pierwsi budowniczywie Bień, Iwanicki i Słotwiński, wzniesli pierwszy domek z piasku, otoczyli go ogródkiem z gałązek i kwiatów i ogrodzili parkanem z patyków. Domek był bardzo pierwotny: nia miał ani drzwi ani okien, ani komina. Nie uwłacza to jednak honorowi naszych budowniczych. I pierwszy parowóz i pierwsza maszyna drukarska były również niedoskonałe, i dopiero całe pokolenia następców pracowały nad ulepszeniem wiekopomnego wynalazku.

Właściwie Bień, Iwanicki i Słotwiński nie byli wynalazcami, bo jak wieść niesie, już w Warszawie sztuka budowania domków z piasku święciła liczne tryumfy. Oto na Nowej Pradze zbudowali raz chłopcy całą Jasną Górę, nie zapomnieli nawet o szwedzkich kulach, bo w murach Częstochowskiego klasztoru tkwiły jagody czeremchy.

Tem niemniej zasługa ich jest wielka, że potrafili w odległej Wilhelmówce rozniecić ognisko szczerego zapału dla budownictwa.

Nie posiadam dość danych, by twierdzić stanowczo, wyrażam jednak przypuszczenie, że domki z piasku z biegiem czasu przetworzyły się w szałas z gałęzi, szałas tak dostojne, że nawet pastuch chronił się w nich przed słońcem, a raz nawet przed burzą.

Zabawa w domki z piasku, pierwsza wspólna zabawa na wspólnym terenie, w ciągu trzech dni powstała, przeżyła okres rozkwitu i upadku.

Niezawodny przepis na budowanie domków z piasku zachowałem i przytaczam w całości, by służył przysłemu historykowi, gdy zechce pisać dzieje górki koło dzikiej gruszy:

„Bierze się kupkę piasku i się ją oklepuje. Jak się ją już oklepie, to się ją gładzi. Piasek trzeba brać z głęboka, bo na wierzchu jest suchy, a z suchego nie chce się robić, bo się sypie, a wieża to się już nigdy nie ulepi. Jak się kupkę oklepie i ogładzi, to już teraz wszystko zależy od tego, co się chce zrobić. Drzwi i ramy okien robi się z patyków, a do ozdoby i na baszty bierze się szyszki zwyczajne albo lepiej zielone. Domek w cieniu dłużej trwa“. (Franciszek Przybylski).

Pierwszego dnia kopano rękami, drugiego dnia pan miał nudną przemowę o tem, że należy być bardzo ostrożnym—i wydał na próbę tylko pięć łopat.

Domki z piasku mają już drzwi, okna, kominy,—jednakże nie koniec na tem.

Badun obok chałupy zrobił krzyż z dwóch patyków związanych trawą. I wszyscy zaczęli robić krzyże obok domków z piasku.

Pogłud obok zagrody wykopał studnię z żórawiem, a Szynkiewicz, Cyganem zwany, w ten sposób ulepszył studnię, że na żórawiu zawiesił na trawce szyszkę, która jest kubłem.

Karaś pokrył dach chałupy liśćmi brzożowemi, i przez całą godzinę modne były brzożowe strzechy.

Do ogrodu Kowalczyka weszła mrówka i szła akurat dróżką.

— O, mrówka. O, jak sobie idzie.

— Ciężko jej biednej iść po piasku.

— To ją puśćcie na trawę.

— Głupi, w trawie jeszcze gorzej trudno.

— O, jakie ma nóżki. O, na wał idzie, na wał.

— Spadnie. — Nie spadnie. Spada. — O, spada.

— Daj ja ją wytrę, bo się piachem umazała.

— Idź, mrówkę będzie wycierał. Skórę byś z niej zdarł.

— A mrówka ma skórę?

I zapewne mrówki weszłyby teraz w modę, ale Terlecki zbudował zamek warowny i most zwodzony.

Natychmiast zaczęto budować zamki warowne i na wyścigi ulepszano mosty zwodzone. Łańcuchy i liny mostów pleciono z sitowia, deski robiono z patyków.

Chabelski wrył pod zamkiem pierwszy loch z trzema wyjściami. Rzecz jasna, że w zamkach muszą być lochy. Zaczęto przerabiać stare zamki na modne z lochami, podczas przeróbki niejednen się zawalił.

— A nie mówiłem, że się zawali.

— Bo stoisz i gadasz nad głową.

— Nie gadam, tylko do lochów trzeba inaczej budować.

— A jakże, inaczej.

— To idź i zobacz jak oni robią fundamenty.

— Teraz modne są kaplice przy zamkach i baszty z szyszek.

— Czterdzieści dwa sysek znalazłem — mówi mały Frankowski wysypując je z kieszeni i z czapki.

— A ja znalazłem ulęgałki na kule armatnie.

— Pokaż, patrz jaki ty jesteś. Daj jedną ulęgałkę.

— Widzisz go, będę mu dawał.

— Czy to są aby prawdziwe ulęgałki? — ktoś pyta nieufnie.

— A może fałszywe?

Właściciel prawdziwych ulęgałek wnet znalazł współników do budowy twierdzy z basztami, wałami, rowami, lochami, zwodzonemi mostami i składem amunicji. Ulęgałki leżeć będą przy wejściu do prochowni.

Nowe ulepszenia!

Zieliński zbudował całą wieś z kościołem, a na szosie widnieją latarnie. Na patyk nasadza się szyszkę, i latarnia gotowa. Tak proste, a przecież tak późno dopiero przyszło do głowy.

Łęgowski wprowadził pierwsze schody, i od tej pory nawet zwyczajne chałupy miały choć po jednym schodku przy wejściu.

Nie należy sądzić, by przy budowaniu wszystko odbywało się zgodnie.

Królik z grupy C pokłócił się ze swą parą przy budowie czatowni.

— Tu potrzebna dziurka — mówi para.

— Nie potrzeba dziurki.

— A skąd będą strzelali?

Zamyslił się Królik, ale że ustępować nie lubi więc mówi:

— Z dachu będą strzelali.

Niewłaściwość podobnego rozwiązania sprawy zbyt biła w oczy, by para Królika nie miała się pobić z Królikiem. I w gruzy rozpadł się gmach pyszny, dźwignięty z takim mozołem.

Ileż razy przekonali się tu budownicy, że zgodą drobne sprawy wzrastają, od niezgody giną największe!

Concordia res parvae crescunt, discordia maxime dilabuntur, — mówi łacińskie przysłowie.

Jednym łopaty przyniosły pożytek, bo głębiej kopali i wilgotniejszy mieli materiał do budowy, innym łopata tylko przeszkadzała w robocie, bo nieciła niezgodę. Jedni długo gromadzili materiał do budowy a nic nie zrobili, inni mało zrobili, zato dużo piasku mają w uszach i za koszulą; inni wreszcie zamiast zakasać rękawy i jać się pracy, woleli łązić i krytykować wysiłki towarzyszków.

— Ten dom tak wygląda jakby się miał zawalić. — Okna krzywe, brama za daleko.

— Pilnuj swego nosa.

Byli tu skromni a skrzętni, twórcy i naśladowcy, wytrwali i niecierpliwi, — i zgoła trutnie.

Drugiego dnia domki z piasku dosięgły najwyższego rozwoju, trzeciego dnia majstrowali już tylko malcy, starsi inne teraz żywili ambicje.

Słońce wysuszyło piasek, i walić się poczęły pyszne pałace i skromne chatki, górka pod dziką gruszą opustoszała, ale nie na długo.

Do Zofjówki. — Pierwsze spotkanie. — Zwierzenia Wikci. — Wielkie tajemnice.

— Chłopcy, ustawiać się w pary. Idziemy do Zofjówki.

— Uuuuul

Kto krzyczy uuul ten się cieszy, kto krzyczy ojoj! ten się bardzo cieszy; a najbardziej się cieszy ten, kto nic nie mówi.

Wiktor Krawczyk, który ma się przekonać na własne żywe oczy, że w Zofjówce jest jego siostra, nie mówi nic z wielkiego wzruszenia, tylko mocno trzyma za rękę swą parę, żeby mu nie uciekła.

— Proszę pana, moja para gdzieś się podziała.

— Ej, chłopaki, gdzie moja para od samowara?

Raz jeszcze powtórzono chłopcom, że powinni być rycerscy względem dziewcząt...

Ruszamy w drogę, — siedemdziesiąt pięć par, — każda grupa z chorążym na czele...

— Ja mam kuzynkę w Zofjówce. — Moja siostra była w pierwszym sezonie...

— Polcia, to jest Apolonja. Może być też Paulina.

— Proszę pana, on się depcze po nogach.

— To idź prędzej i nie gap się, gapiu.

— Proszę pana, on się przeżywa...

Niezmiernie ciekawe zjawisko: jak się włoży kłós pod koszulę na brzuch i się idzie — to kłós podnosi się, podnosi do góry, aż dojdzie do szyi i wyjdzie przez kołnierz.

— Nie wierzysz, to się załóż...

Piąta para rozmawia o kolonji w Pobożu, szósta spiera się o to, czy kamienie rosną, siódma projektuje co kupi, gdy im przed wyjazdem pan odda pieniądze.

— O kolej, kolej idzie.

— Nie pchaj się. Proszę pana, on się pcha.

Ktoś pierwszy zaczął śpiewać, — wszyscy teraz śpiewają.

— Proszę pana, czy do Zofjówki jest wiorsta?

— Czy to prawda, że będzie muzyka i będziemy tańczyli?

„Tańcowała ryba z rakiem,

A pietruszka z pasternakiem.

Cebula się dziwowała

Jak pietruszka tańcowała“.

— Ja będę nogi podstawiał, żeby się przewracali, — projektuje Achcyk, który bije, gdy Zechcyg na niego wołają.

A mały Wiktor Krawczyk co chwila wybiega z pary i pyta się, czy jeszcze daleko.

— Trzy mile za piec, — drażnią się z nim chłopcy.

Dziewczęta już zdążyły poznać nasze chorągiewki i biegną naprzeciw.

— Chłopaki idą, chłopaki!

— Chłopaki — straszaki!

— Chłopaki — drapak!

Mały Wiktor puścił się, jak kula armatnia i z wielkiego wzruszenia siostrę pocałował w rękę; a sio-

stra się rozplakała: bo Wiktor jest mały, i pewnie mu chłopcy dokuczają...

Siostra Czerewki też wybiegła na spotkanie brata, ale dostrzegłszy go, bardzo się zawstydzila i uciekla. — Siostra Ańdziaka dała bratu w łeb czapką płócienną; a układny Troszkiewicz przedstawił panu kuzynkę:

— To jest, proszę pana, Helenka.

Helenka ładnie dygnęła i oznajmiła, że wczoraj list z domu dostała...

Mały Gawłowski długo i uważnie przyglądał się dziewczynom, potem westchnął głęboko i zmarszczywszy brwi z wielkiego skupienia, orzekł stanowczo:

— Dziewuchy mają takie same czapki, jak my.

Przed werandą na ławkach siedzą dziewczęta.

Chłopcy, zapomniawszy o należnej damom rycerskości, spędzili je z ławek, sami się rozsiedli a damy ochłonawszy szybko, odwojowały czapkami utraconą placówkę.

Nie obyło się bez wielkiego hałasu, wskutek czego wszystkie wróble pouciekały z Zofjówki.

Koło studni bawią się dziewczynki w szkołę.

— W szkołę się tam na wsi bawić — śmieją się chłopcy.

A Wikcia Korzeniowska opowiada Felkowi w wielkiej tajemnicy swe liczne przygody...

Wikcia i Felek mieszkają w Warszawie na jednym podwórku, i Felek jest przyjacielem brata Wikci i obiecał, że się Wikcią będzie opiekował.

Wikcia ma w Warszawie dwie lalki: jedną dostała od cici, drugą dostała — także od tej same

cioci. Wikcia ma jeden krzywy ząb i siostrę Elżbietkę i brata Władka, a krzywy ząb ma dlatego, że jak ząb mleczny wyleciał, ciągle to miejsce ruszała językiem. Teraz Elżbietka niema się z kim bawić i pewnie się bawi lalkami.

Wikci zrobiła się krosta na języku, bo za dużo gadała, a Władka raz chłopiec trafił kamieniem i tak mu krew leciała, a teraz ma znaczek na czole.

Jak Władek idzie z Felkiem kąpać się do Wisły, Wikcia się modli, żeby się nie utopili. Władek chodzi na obiady do cioci tej samej, która dała Wikci raz lalkę, a kiedyindziej drugą lalkę.

Wikcia najwięcej kocha mamę, a tatusia i Elżbietkę kocha zupełnie tak samo i tak samo kocha Władka i Felka i ciocię, chociaż Felek nawet nie jest kuzynem. Ale swojej pary na kolonji nie kocha. Para jest niegrzeczna, nikomu nie da przejść drogi i zaraz się kłóci. Para nazywa się Zosia i gdyby ją Wikcia znalazła, toby ją pokazała.

Z tą parą Wikcia się nawet pobiła i chętnie opowie, jak było, ale żeby nikomu nie mówić, bo to jest tajemnica.

Jakaś dziewczynka wzięła tej parze dwie szyszki, a para myślała, że Wikcia, i powiedziała na nią coś, co się Wikcia wstydzi powtórzyć. Potem para pchnęła Wikcię, Wikcia pchnęła parę, i para ją tak podrapała, że aż pęcherz wyskoczył. I teraz już do siebie wcale nie mówią.

Wikcia chce jeszcze coś powiedzieć, ale w największej tajemnicy.

Więc właściwie, one się już dawno gniewają, od wczoraj po obiedzie.

Bo kiedy raz Wikcia zrobiła domek i stół i wszystko z piasku, i takie było ładne, że pani z grupy E przyszła obejrzeć, niby że chce u Wikci wynająć mieszkanie, to Wikcia poprosiła parę, żeby się razem bawiły. A jak wczoraj para zrobiła mieszkanie i Wikcia chciała się przyłączyć, to para powiedziała, żeby sobie poszła, że już niema miejsca.

A rano, jak się myją, para nikomu nie chce dać mydła. A jeszcze dawniej para naplotkowała na Władka, że jest łobuz i że go wyrzucą ze szkoły. Wtedy Wikcia już nie mogła wytrzymać i powiedziała: „ty kłamczuchu i ty drapieżny kocie“. Bo para wcale nie zna Władka, bo zupełnie gdzie indziej mieszkają.

Wikcia nie lubi się kłócić i nigdy nie mówi takich wyrazów: ale w największej tajemnicy powie, co na nią para powiedziała; powiedziała na nią „smarkatka, a potem smarkuła, a potem—plotkara“.

Wikcia już woli, żeby na nią mówili smarkatka bo to znaczy, że jest mała, a być małą nie wstyd, bo urośnie; plotkara jest znacznie gorzej, bo znaczy, że plotki robi, a ona przecież mówi tylko w wielkiej tajemnicy. — Smarkuła znaczy zupełnie to samo, co smarkatka. To są bardzo brzydkie wyrazy—znaczy, że Wikcia nosa nie wyciera i Wikcia aż się wstydzi, że musiała je powiedzieć,—ale tylko w największej tajemnicy.

Jak Wikci raz drzazga weszła w nogę, to jej się przykrzyło na kolonji i chciała pojechać do Warsza-

wy, ale teraz kiedy jest Felek, Wikcia cały rok mogłaby już tu siedzieć...

Felek uważnie wysłuchał wszystkich tajemnic Wikci, trochę się uśmiechał, a kiedy zapytano, czy Wikcia jest mądra i czy ją lubi, odpowiedział, że bardzo mądra jeszcze nie jest, bo jak opowiada, to wszystko razem płacze, ale bardzo ją lubi, bo jest dobra i zna ją, kiedy była jeszcze zupełnie malutka.

Tymczasem Wikcia znalazła parę, a że parze było zimno, więc jej Wikcia dała ponosić swoją pelerynę — i przeprosiły się, i Wikcia prosiła, żeby wszystko aż do wyjazdu zachować w najgłębszej tajemnicy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sprawa o gniazdo, o żabę, o kąpiel. — Daj nos, Dajnowski.

Zgadnijcie, ile spraw rozpatrywał sąd kolonji Wilhelmówki w ciągu dwóch sezonów.

Czterdzieści trzy sprawy.

Okropnie dużo. Jeśli jednak zważyć, że dwoje dzieci bawiąc się w pokoju, potrafi często w ciągu godziny pięć razy pokłócić się, poskarżyć mamie, znów pogodzić i znów pokłócić, to dla 150 chłopców na wsi w ciągu czterech tygodni i znów 120 w ciągu następnych czterech — ta ilość spraw sądowych nie jest zbyt wielka.

— A wyroki? — Najwyższa kara: 20 minut kłęczenia — tylko dwóch chłopców dotknęła...

Ileż to razy zdawało się, że chłopiec bardzo zawinił; a kiedy sąd wniknął we wszystkie szczegóły, — wina stawała się mniejszą, małą, maleńką.

P. starszy, S. i B. *) zniszczyli gniazdo ptasie. — W gniazdku było pięć jajek.

Zrabowane gniazdo oskarżeni sami rozebrali i obliczyli, że było w niem: 73 piórka, 280 słomek, 246 źdźbeł kory brzozonej, 148 włosów końskich. — Ileż to pracy drobnej, słabej ptaszyny poszło na marne. — A te jajeczka małe, toż to dzieci ptasząt. — Dom zrujnowany, dzieci zabite!

Oskarżyciel żądał najsurowszej kary, ale głos zabrał obrońca:

— Sędziowie, spójrzcie na oskarżonych. Jeden z nich płacze, jeden siedzi smutny, a jeśli trzeci się śmieje, to dlatego tylko, by ukryć swój smutek. — Sędziowie, czyby oni popełnili czyn tak zły i niemądry, gdyby wiedzieli to, co teraz wiedzą?

Długo mówił i temi słowy zakończył obrońca:

— Sędziowie, zapewniam was: że gdyby ten ptaszek był tu obecny, mógł do was przemówić, — napewno takby powiedział: „chłopcy wyrządzili mi wielką, wielką krzywdę, ale przebaczcie im, bo kara ani nam chatki naszej nie powróci, ani nie wskrzesi nam dzieci. Poproście jednak, aby tego nigdy nie robili, bo i my mamy serca, które umieją kochać i przebaczać“. Sędziowie, nie bądźcie gorsi od małej ptaszyny.

*) Autor podaje nazwiska w skróceniu nie chcąc robić chłopcom przykrości, gdyby opowiadanie wpadło im w ręce.

Wyrok w dosłownem brzmieniu głosi:

„Dnia 3 lipca, w piątek po podwieczorku, sąd kolonji, złożony z sędziów: Tarkowskiego z grupy A, Holca z gr. B, Antczaka z gr. C, Faszczewskiego z gr. D i Spychalskiego z grupy E — rozpatrywał sprawę o zniszczenie gniazda ptasiego przez P, S. i B. Wszyscy przyznali się dobrowolnie do winy.

Sąd biorąc pod uwagę, że:

1. Zniszczono gniazdko po raz pierwszy,
2. Zrobiono to nie w złej myśli, nie w celu skrzywdzenia bezbronnego i niewinnego ptaszka,
3. Winni nie wykręcali się, nie kłamali, ale odrazu i wyraźnie wszystko opowiedzieli, —

Sąd, biorąc to pod uwagę, postanowił:

„B. i P. starszy jeść będą dziś kolację osobno“.

Dalej sąd, uznając udział S. w zniszczeniu gniazda za niedowiedziony i widząc szczery żal jego, postanowił:

„S. przebaczyć“ ...

Gorsza była następna sprawa, a jakkolwiek i tu obrońca próbował choć w części usprawiedliwić oskarżonych, wyrok wypadł po myśli prokuratora:

„Tenże sąd na temże posiedzeniu rozpatrywał sprawę o męczenie i zabicie żaby przez W. Sąd biorąc pod uwagę, że

1. W. chciał zobaczyć serce żaby, o którym w szkole opowiadał i na obrazku pokazywał w Warszawie nauczyciel,
 2. W. jest pierwszy raz na kolonji i mógł nie wiedzieć, jak bardzo zabrania się tu męczenia zwierząt,
- postanowił łagodnie ukarać oskarżonego.

Zważywszy jednak ile bólu sprawił niewinnemu stworzeniu, — wyznaczył karę: 10 minut kłęczenia“.

„Tenże sąd, na temże posiedzeniu rozpatrywał sprawę Z. oskarżonego o zabicie dwóch żab.

Sąd biorąc pod uwagę, że Z. uczynił to bez żadnego powodu, gdyż nie można uważać za dostateczny powód, że żaby przstraszyły go podczas zbierania poziomek, postanowił ukarać Z. przez kłęczenie w ciągu 20 minut.

Tym, którym wyrok ten może się wydawać zbyt surowym, sąd przypomina, jak bardzo cierpiały dręczone żaby.

Sąd przypomina z naciskiem, że nie wolno śmiać się z odbywających karę, a to pod grozą poniesienia kary podwójnej“.

Druga surowa kara dwudziestominutowego kłęczenia przypada w udziale Staškowi, który stale się spóźniał, nigdy po trąbce nie przychodził z lasu i szukać go trzeba było zawsze.

*

Jedna tylko sprawa wyłączona była z pod władzy sądu koleżeńskiego i tę rozpatrywał sąd złożony z dozorców.

Kilku chłopców poszło kąpać się w rzece, — jest to największe kolonijne przestępstwo.

Bo pomyślcie tylko: rodzice powierzają dziecko kolonjom letnim; jeszcze w zimie pamiętać musieli, by iść do zapisu, potem do lekarskiego badania,

a jeszcze metrykę trzeba było odszukać. Niełatwo matce oderwać się od gospodarstwa, biec do biura z odległej ulicy; a ile się natroskała: czy aby wyślą, czy miejsc nie zabraknie, a może napróżno się trudzi?

Po co tyle troski i zachodów? — Po to, by dziecko na wsi przyszło nieco do zdrowia.

I nagle matka otrzyma wiadomość, że syn się utopił w rzece! Taki wypadek miał raz miejsce, lat temu piętnaście, i od tej pory najsurowiej zabrania się dzieciom chodzić samym do rzeki.

— Cóż z tego, że jeden z chłopców, którzy poszli się kąpać, pływa tak dobrze, że Wisłę tam i z powrotem przepłynie? Jeśli dziś jemu pozwolimy, to jutro wymknie się jakiś niedołęga, a o nieszczęście tak łatwo.

Dozorcy napisali do rodziców karty otwarte tej treści:

„Niniejszem zawiadamiamy Sz. Pana, że syn Jego wydał się samowolnie z kolonji i poszedł do kąpieli bez dozorczy. Prosimy o zawiadomienie, jak go za to ukarać. Rzeka jest głęboka i za skutki podobnych wycieczek odpowiedzialności na siebie brać nie możemy. Dozorcy dzieci“.

Jednakże obiecano chłopcom, że karty wysłane nie będą, jeśli dadzą wszyscy uroczyste zapewnienie, że do końca sezonu sami do kąpieli nie pójdą ani razu.

I do dziś dnia karty te leżą w mojej szufladce, zachowane na pamiątkę o pięciu dzielnych chłopcach, którzy mieli odwagę przyznać się do przewi-

nienia, i mieli taki hart ducha, że choć ich nęciła rzeka, dotrzykali danego przyrzeczenia.

Wyrosną z nich dzielni ludzie!

*

Najwięcej spraw cywilnych, to jest spraw, gdzie chłopiec, a nie dozorca oskarża — dały nam przewiska.

Sowińskiego nazywają Sową, Stachlewskiego — Stašką, Frankowskiego — Frankiem albo Żydkiem, Achcyga — Zechcygiem.

Na Pajera wołają: Frajer Pierwszy, albo Frajer Pompka, na Nowakowskiego: cip, cip, cip, nowa kokoszka; a Dajnowskiego za nos łapią i mówią: daj nos, Dajnowski.

Kto się nazywa Janek, ten zbił dzbanek, kto Felek — ten zjadł babie serdelek. Michniewski — Cygan, Gajewski stary gajowy — gruszek na wierzbie pilnuje, a Omelańczyk — ele mele dudki.

Nie każdy się o przewiska obraża.

Boćkiewicza nazywają bocianem, Szczepańskiego — Ciamarą, innego — Paluszkciem, Kumą, Bednarzem, a wcale się nie gniewają. — A królowie nasi: Łokietek, Krzywousty, Laskonogi, Śmiały — czyż nie nosili przewisk, które przeszły nawet do historii?

Jeśli ktoś jednak nie chce być Imbrykiem, Chińczykiem, Babcją, Waligórą, Ciocią, Słoniem lub Fajtłapą, ma zupełne prawo, tylko że na sądzie więcej z tego śmiechu, niż pożytku, bo najczęściej obie strony są winne. — Kaza nazwał Smolarka szczeniakiem, ale Smolarek nazwał Kazę — kozą.

Olsiewicz powiedział:

— Czekał, Babciu, dam ja ci po obiedzie.

Ale Gajewski nasypał Olsiewiczowi kaszy do kompotu.

Nie przypominam sobie, by która ze spraw cywilnych nie zakończyła się zgodą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Okręt „Burza”. — Statek „Błyskawica” i dostojny pasażer. — Budowa „Nadziei”.

Pozwalać, czy nie pozwalać chłopcom drapać się na drzewa? — długo biedzili się dozorczy; jeśli pozwolić, spaść który może, jeśli zakazać, robić to będą potajemnie.

— Stań tu i kiwnij, jak pan będzie szedł.

Stojący na czatach kiwnął, chłopiec na łeb na szyję złazi z drzewa — i tembardziej obsunąć się może — Wreszcie przyjemniej pozwalać, niż zakazywać.

Wybawił dozorców z kłopotu Chabielski, założywszy pierwszy w Wilhelmówce okręt na drzewie. Chabielski tak opowiedział historję swego okrętu:

Pewnego razu, gdy mi się nudziło, spotkałem Iwanickiego i zaproponowałem mu zabawę w okręt. Zgodził się, zaczęliśmy szukać pochyłego drzewa. Znaleźliśmy je przy górze koło polanki. Drzewo składa się z dwóch części: przedniej pochyłej — jest to przód okrętu, i tylnej wysokiej — na bocianie gniazdo. Obie części okrętu łączy pomost: jest to gruba gałąź, którą się zakłada na sęki obu drzew. —

Przód okrętu zajmują majtkowie i sternik. Sterem jest długa zwieszająca się gałąź. Nieco wyżej siedzi maszynista koło grubego sęka. Sęk jest maszyną, a kluczem od maszyny patyk, zakończony widełkami; kluczem puszcza się parę.

Okręt nosi nazwę „Burza“...

Ulepszenia szły jedno po drugim. Między kajutą a pokładem są teraz schody z kijów; połączono pomostem maszynę ze sterem. Kotwicą jest gruby pniak z korzeniem, znaleziony na odległej wycieczce w lesie.

Na okręcie jest dwóch nurków, którzy natychmiast zeskakują do morza, o ile coś spadnie.

„Burza“ bywa niekiedy okrętem korsarskim i wówczas goni statki handlowe, bądź przed pościgiem ucieka. Niekiedy jest statkiem rybackim; wówczas zarzucają rybacy do morza długie drągi, którymi wciągają schwyte wieloryby.

Odjazd odbywa się w następujący sposób:

Kapitan trzy razy pociąga za sznurek, przy każdym pociągnięciu za sznurek maszynista gwizdże, podnosi się kotwicę, maszyna zaczyna syczeć — rozwija się żagle. Ach, gdyby choć ręcznik na żagiel! Teraz majtek wchodzi na bocianie gniazdo, patrzy przez lunetę na morze, i „Burza“ wyrusza w drogę.

Kapitan posiada mapę i kompas.

Obok okrętu są szalasy Zielińskiego i Lokajskiego, załoga okrętu po nużącej podróży znajduje tam gościnę.

Raz zbuntowali się majtkowie, jak to miało miejsce i na okręcie Kolumba, — nie chcieli spełniać roz-

kazów, bombardowali okręt szyszkami. Jednego z nich schwytano, drugi—uciekł. Za nieposłuszeństwo został wysadzony na bezludnej wyspie i więcej się już nie bawił.

Na ich miejsce wzięto Tomka Galasa, który doskonale chodzi po masztach i pełni służbę na bocianiem gnieździe.

Raz okręt spotkała na morzu burza. Kapitan rozkazał zwinąć żagle i kierując się strzałką kompasu, zawinięto do portu.

Raz okręt napadli korsarze. Załoga rozdzieliła się na dwie partje: jedną poprowadził do ataku kapitan, druga z Iwanickim na czele zaszła z tyłu, zadała wrogowi ciężką porażkę.

Liczne zmiany zachodziły ciągle w załodze okrętu. Pomocnikiem kapitana po Iwanickim był Olek Ligaszewski, później Kossowski. Po Galasie objął gniazdo bocianie Szczęsny, potem Lobański. — Bo często nurek albo majtek „Burzy“ zakładał sobie później własny okręt.

Naprzykład Ligaszewski.

Za gwarno mu było na awanturniczej „Burzy“, został kapitanem spokojnego pasażerskiego statku „Błyskawicy“.

Najczęściej Ligaszewski sam odbywa podróże, bo majtek Wiktor Mały, pomaga panu przy opatrunkach i niezawsze ma czas towarzyszyć kapitanowi. Najczęstszym pasażerem statku jest Dobilis. Wiedzieć należy, że kapitan „Błyskawicy“ bardzo lubi czytać — i płynąc od czasu do czasu tylko, rzuci okiem na morze, czy nie płyną na skały, i znów

się pogrąża w czytanie; pasażerów przyjmuje tylko spokojnych, tylko z książkami.

Dostojnego miała raz „Błyskawica“ pasażera: płynęła nią Mania Wdowik, znakomita deklamatorka z Zofjówki. Wiktor Mały podarował jej na pamiątkę okrętową lunetę, — wspaniałą tutkę po wypalonym fajerwerku.

— Widzisz głupi, jej to na nic, — podrze i rzuci, a wy nie macie teraz lunety, — powiedziano hojnemu majtkowi.

— Kiedy mnie prosiła, — próbował się usprawiedliwić, czując jednak swą winę.

(Wiadomo, że marynarze mają wielki respekt dla dam, są przytem hojni i lekkomyślni...)

Kto chce nowy okręt założyć, musi zdać przed komisją egzamin z wspinania się na bocianie gniazdo; wybrane na okręt drzewo musi być wypróbowane: czy gałęzie są mocne, czy pomost niezbyt wysoki. Potem okręt otrzymuje nazwę, notuje się nazwisko kapitana, który odpowiadać będzie za bezpieczeństwo załogi. W razie wypadku, za wszystko odpowiada kapitan.

Raz jeden tylko kapitan Ulrych spadł podczas manewrów z pomostu „Gwiazdy“, dwa dni go ręka bolała. Twarde musiało być morze w tem miejscu.

Oto wre praca przygotowawcza na nowym okręcie: „Nadzieja“.

— Tę gałąź założy się tutaj, to będzie kajuta sternika.

— Patrz, ja mam sznurek, można przywiązać.

— Poczekaj, sznur przyda się do kotwicy, a gałąź na sęk się założy.

— Tylko zobacz czy mocno, — troszczy się kapitan „Nadziei“, odpowiedzialny za bezpieczeństwo załogi.

— Patrzenie, ta dziura będzie oliwiarką.

— A ty idź po klucz do maszyny. Tymczasem przynieś byle jaki, po obiedzie pójdziemy do lasu, to lepszy znajdziemy.

Jest jeszcze duża gałąź na zbyciu.

— To będzie szalupa. A ty zejź tam z góry, bo jeszcze spadniesz.

Kapitan zdaje sobie sprawę z ciążącej na nim odpowiedzialności.

— I ja się chcę bawić, zgłasza się nowy kandydat.

— Dobrze, będziesz nurkiem.

Wreszcie wszystko gotowe do drogi.

— Zajmować miejsca, ruszamy. Maszynista niech puszcza parę.

— Kotwica, panie kapitanie?

— Prawda, zapomniałem.

Młody niedoświadczony kapitan.

— Szszszsz, — syczy maszyna...

Tam znów gotuje się do drogi pancernik: „Odwet“, tam statek rybacki „Sobieski“, gdzieindziej „Rekin“ wyrusza.

Prócz dużych, są małe łodzie małych kapitanów: Paluszka i Terleckiego na krzywej brzezynie, Sulejewskiego na niskim dębczaku. Ktoby teraz spojrzął na marsowe czoło kapitana Sulejewskiego i posłu-

chał jego grzmiących rozkazów, tenby nie chciał wierzyć, że tydzień temu łyzy ronił, bo go siostra nie odprowadziła do kolonji, i nos pełen troski rękawem ucierał.

Cóż dodać jeszcze do rozdziału o rozwoju marynarki w Wilhelmówce? To chyba tylko, że jak tu, tak wszędzie, jedni rychło porzucali zabawę, drudzy kończyli pracę kłótnią, zabawy nie zdążyli nawet rozpocząć, jeszcze inni próbowali zagrabić gotowe już okręty, co im się jednak nie udało, bo w głównej kancelarji ministerjum marynarki zapisane były wszystkie okręty i ich posiadacze; znaczna część okrętów przetrwała do końca kolonijnego sezonu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Morze Pompowe koło studni. — Admirałowie floty morza Pompowego. — Kolej patykowa i skorupka od jajka.

Poza kolonją jest kierat, który chłopcy pierwszego ranka wzięli za karuzelę i srodze się zawiedli.

Rano Jan wprzęga konia do kieratu, kręci wodę ze studni do pompy i do zbiornika.

Niektórzy, przekonawszy się, że wielkie koło drewniane nie jest karuzelą, dali za wygranę; są jednak tacy, co uważają, że na drewnianem kole jeździ się wcale dobrze. — Jeśli tutka od fajerwerku może być lunetą, drzewo okrętem, gałąź kotwicą, — dlaczego kierat niema być karuzelą?

Niby sobie patrzą zdaleka, dziwią się, jak też koniowi nie zakręci się w głowie od ciągłego chodzenia w kółko, — i niema w tem nic zdrożnego; ale niech tylko Jan odejdzie na chwilę, już zaczynają się wozić.

Raz mało co Dałkiewicz nie wpadł pod koło, bo się w sznurze zaplątał, że nawet mu czapka zleciała, — i dopiero para czapkę mu podniosła; Jan tak się przestraszył, że napewno dałby mu batem przez plecy, gdyby Dałkiewicz nie uciekł, gdyby Jan miał bat akurat pod ręką.

Kłopot był wielki z kieratem, dopóki Dajnowski i Wiktorowski nie zostali admirałami zjednoczonej floty morza Pompowego i właścicielami całego, przylegającego do morza terenu.

Dostojeństwa i przywileje nakładają zawsze ciężkie obowiązki.

Dajnowski i Wiktorowski są właścicielami morza, które się koło pompy utworzyło w dziurze, oni wydają pozwolenia na wszelkie roboty, kanały i porty, bez ich zgody żadna łódź nie ukaże się na wodach Pompowych; ale też oni odpowiadają za całość kieratu, za wszystkie wypadki na całym terenie, podległym ich władzy.

Wiktorowski ma dwie łódki, wycięte z kory scyzorykiem, później jedną z nich podarował Kucharowskiemu, sam zrobił inną, z żaglem, pokładem, sternem i ławkami. Dajnowski ma cztery żaglowce.

Z korą na budowę okrętów nie taka znów łatwa sprawa jakby się pozornie zdawało. Bo korę wolno tylko z pieńków zdzierać, a nigdy odbijać z drzew

zdrowych. I dlatego kora, z której ma być rozpoczęta budowa, musi być obejrzana, pozwolenie na pracę wydane; inaczej okręty niezameldowane, jako korsarskie, będą konfiskowane, a właściciel sądowo ścigany.

Są inne jeszcze ograniczenia, bo i wody do morza zbyt wiele puszczać nie należy; wzamian jednak jest wolność, oparta na prawnym posiadaniu.

Dawniej gdy Jan się ukazał, trzeba było całą flotę chwycić i w nogi, co tylko sił starczy; ubliżało to godności, nie licowało z powagą morza Pompowego. Teraz, kiedy strona prawna została już wyjaśniona, nic podobnego mieć miejsca nie może.

Wysłana swego czasu do Jana misja dyplomatyczna otrzymała życzliwe przyzwolenie, jakkolwiek w niedość uroczystej wyrażone formie:

— A bawta się tam, tylko żebyśta mi wody nie puszczała; i koła nie ruszajta, bo was powyganiam.

Akt ten aczkolwiek nie uwidocznił papierem i podpisami, potwierdził prawa Dajnowskiego i Wiktorowskiego. I szła zabawa.

— Patrz, moja łódka bale przewozi.

— A moja łódka, łódkę uradzi.

— Eee, twoja łódka bokiem idzie.

— Bo ją wiatr tak pcha.

— Patrz, a moja sama skręca.

— A teraz jedna łódka drugą pcha.

— Te, odejdiesz ty tam od koła, czy nie?

Teraz już można być spokojnym o kierat.

— Patrz, co piasku nakładłem, i nie tonie.

— Bo łódka musi mieć balast.

— Te, czego patyki wrzucasz, — idź sobie.

Admirałowie czuwają.

— A mój okręt jedzie do Ameryki.

— Moja idzie do brzegu, bo się wody nabrało.

Potem wielką burzę zrobili i ratowali zagrożone okręty.

Morze Pompowe wymaga dużego nakładu pracy, zanim stanie się dostatecznie bezpieczne i zdatne do żeglugi.

Nasamprzód wymierzono głębokość i powierzchnię dna zbadano. Powsadzano patyki tam gdzie jest mielizna, lub podwodne skały. Skały, które bardzo przeszkadzały w żegludze, usunięto lub przeniesiono w mniej ważne miejsca. Niektóre mielizny też należało usunąć. Przystąpiono do budowy latarni morskiej.

Starszy inżynier, Bednarski z B., zaczął kopać kanał.

— Daj spokój z kanałem, bo woda wyleci.

Kanał jest dość ryzykownym przedsięwzięciem, bo zagraża wodzie Pompowego morza; ale nad kanałem można zrobić most i okręty mogłyby przepływać pod mostem.

— A na moście zrobi się kolej.

— A masz scyzoryk?

— Józkowi pożyczyłem i zgubił.

Zaczęto poszukiwać wspólnika do budowy kolei patykowej na moście, wiodącym przez kanał morza Pompowego, i wspólnik ze scyzorykiem się znalazł.

Wspólnik nie tylko wniósł scyzoryk, ale szereg znakomych pomysłów.

— Trzeba zrobić zatokę, port, przystań.

— Rozumie się, że trzeba.

Ktoś chce solniczkę puścić na morze, aby też pływała.

— Odejdź ofiarno, solniczkę puszcza na morze.

Znaleziono skorupkę od jajka. Dobrze, przyda się.

— Może ją podrobić i będziemy wozili?

— Eee, szkoda psuć: do wożenia mamy piasek i kijki.

Słusznie: skorupka od jajka winna odegrać poważniejszą rolę.

— Wisz, puść ją tak sobie, niech pływa, niech tymczasem oznacza, gdzie woda głęboka. A potem się już pomyśli co z nią zrobić.

Tak czy inaczej, skorupka od jajka została włączona do inwentarza morza Pompowego. Co wymyślili admirałowie, do czego później służyła, — nie umiem powiedzieć, nie znam dalszych jej losów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Historja trzech łózek. — Wyklęte duchy kolonji. A jednak się poprawili.

Kiedy wieczorem pan otwiera drzwi sali, ten komu się uda pierwszemu wpaść do sypialni, oznajmia z tryumfem:

— Ja pierwszy dziś wszedłem na salę.

Bo pierwszy ma bezsprzeczne przywileje: zajmuje najlepszy kran w umywalni, ma najsuchszą ścieczkę do obtarcia nóg, najprędzej leżeć będzie

w łóżku — może wołać w poczuciu swej wyższości:

— Dalej guzdrały, kładźcie się; trzeba na nich czekać dopiero.

Należy wiedzieć, że im wcześniej wszyscy leżeć będą w łóżkach, tem dłuższą bajkę pan będzie mógł opowiedzieć. A bajki, jak bajki, — bywają mniej lub więcej ciekawe; ale z góry nie można nigdy przewidzieć. Może dziś akurat będzie ładna bajka, a tu pan urwie w najciekawszem miejscu, że późno, więc jutro dokończy. Tego najbardziej nie lubią. — Najlepiej, gdy całą bajkę pan skończy i jeszcze krótkiego coś doda na dokładkę.

Dziś ma być nie bajka, ale prawdziwa historia, — historia o trzech chłopcach z poprzedniego sezonu; wiadomo bowiem, że przed miesiącem w tej samej sali na tych samych łóżkach spali inni chłopcy, którzy nosili te same bluzy, pili mleko z tych samych kubków i tak samo puszczali latawca, grali w warcaby i młynek.

Teraz już są w Warszawie, ale wspomnienie o nich zostało. I pan dziś opowie historję trzech łózek. A najuważniej słuchać będą: Czesio Gryczyński, Trześniewski i Karol Zaremba, bo to na ich łóżkach właśnie spali w poprzednim sezonie chłopcy, o których się powie.

A więc tak:

W parę dni po przyjeździe na kolonję wybrali się do lasu. Wtedy dużo było jeszcze poziomek. Jedni odrazu zjadali zerwane poziomki, a inni zbierali do czapki.

Mały Jasiek, chłopiec słaby a przytem jąkała, zebrał dużo poziomek do czapki, był bardzo z tego dumny i wszystkim pokazywał jak dużo poziomek zebrał do czapki. I oto ci trzej chłopcy, którzy spali w łózkach dziewiątem, dwudziestem trzeciem i dwudziestem ósmem, wyrwali Jaškowi z rąk czapkę, poziomki zjedli, czapkę rzucili w krzaki, a jeszcze zagrozili obiciem, gdyby się poskarżył.

Świadkowie tej brzydkiej sceny byli oburzeni, nazwali ich złodziejami, postanowili z nimi nie bawić się nigdy, ani im ręki nie podawać wcale. — Cóż więc dziwnego, że ci trzej chłopcy, poniżeni i osamotnieni, jedyną w tem znajdowali rozrywkę, że przeszkadzali innym w zabawie i dokuczali i bili się ze wszystkimi.

Kiedy wreszcie doszło do sprawy, okazało się, że aż 14 chłopców miało do nich urazę, że skarżyli się nawet w listach do rodziców: „byłoby mi dobrze, ale chłopcy biją się i przezywają“, „chciałbym wrócić do domu, bo chłopcy popychają, przeszkadzają w zabawie i mówią brzydkie wyrazy“.

Jak duchy wyklęte błakali się po kolonji, — sieli łzy i skargi, zbierali nienawiść.

Czy można pozwolić, aby tacy trzej niegodziwcy zakłócali spokój całej kolonji, czy nie należy tych trzech najgorszych odesłać do Warszawy, do domu?— Jednakże pamiętać trzeba, że ci najgorsi z kolonji, są najbiedniejsi, najbardziej zaniedbani, że ich kolonja właśnie poprawić powinna i może.

Zawsze taki najgorszy miał najbrudniejsze uszy i najdłuższe paznokcie na dworcu, najrzadziej list

z domu dostanie, najchciwszym wzrokiem obejmuje otrzymaną porcję mięsa przy obiedzie. — Niema na kolonji bogaczów, aleć są różne stopnie biedy czy niedostatku. Żaden z tych trzech do szkoły nie chodzi, w Warszawie robili co chcieli.

Ojciec pierwszego z nich, Kazia, pracował w fabryce, zachorował i stracił miejsce. Dlaczego ojciec podał do sądu właściciela fabryki, Kazio nie wie dobrze; ale fabrykant miał adwokata, i ojciec Kazia przegrał sprawę w sądzie. Innego miejsca chyba nie dostanie, bo żeby je dostać, trzeba majstrów częstować, albo dać kilka złotych. — Ojciec Kazia jest dobry: jak czasem uderzy które z dzieci, zaraz potem żałuje, płacze i idzie do spowiedzi, — bo mówi, że grzech bić. A dzieci jest sześcioro; a zarabia jedna tylko Emilka. Gdy w zimie dziecko umarło, cztery dni leżało, nie było go za co pochować.

Ojciec drugiego, Józia, leży w szpitalu, bo mu beczka, jak ją turlali do piwnicy, nogę złamała i kość w środku odgniotła. Ojciec źle z matką żyje; ojciec ma brata i siostrę, którym daje pieniądze, a mama się gniewa. Brat i siostra wyciągają ojca na piwo, buntują na mamę, i ojciec wraca taki zły, że strach, — i namawiają go, żeby rzeczy z domu wynosił i sprzedawał.

A trzeci, na którego łóżku śpi teraz Czesio, niema ojca wcale, bo poszedł sobie, i niewiadomo gdzie się teraz podziewa. Mama zarabia mało, bo słaba. Czasem cały tydzień jedzą chleb suchy z herbatą. Kiedy był mały, chodził do ochrony: ale pani była niedobra, za byle co linją biła po głowie. A teraz chodzi na plac, gdzie kaplicę budują, i bawi się

z chłopcami, którzy w karty grają, papierosy palą.— Na placu zaprzyjaźnił się z Julkiem. Julek z nich wszystkich najgorszy; aż dziadek kupił za dwa złote zagonek, żeby siał sobie i sadził, żeby się z łobuzami nie zadawał.—Dziadek kupił na raty maszynę do robienia pończoch dla siostry, nie było czem płacić, maszynę zabrali. — Brat jest w terminie u ślusarza, jeszcze rok ma do skończenia nauki; a reszta dzieci małe, najmłodsze chodzić dopiero zaczyna...

Nie może być, aby ci trzech chłopcy byli tak źli, że ich stu czterdziestu siedmiu pozostałych nie może poprawić, jeśli zechcą. — Jeśli mówią brzydkie wyrazy, dłaczego nie mają mówić ładnych; czyż przyjemniej powiedzieć „psiamać, szczeniak, żebyś zdechl“, niż: „motyl, wiewiórka, — chodź, zagrajmy w palanta“. Czyż przyjemniej uderzyć towarzysza, niż podbić piłkę w górę, wysoko, pod chmury?

Zabrali Jaškowi poziomki, sądzili, że to figiel, żart z chłopca, który się chwali. Poziomek dużo: pójdzie i świeżych nazbiera. A wy zaraz: „złodzieje, nie bawić się, ręki nie podawać“. Czy dziw, że stali się wrogami całej kolonji?

Z wrogów uczynić przyjaciół — jakież to piękne zadanie; pierwszym do tego krokiem jest zapomnienie krzywd i dawnych uraz.

Sąd uniewinnił chłopców, którzy spali na łózkach: dziewiątem, dwudziestem trzeciem i dwudziestem ósmem, i wszyscy trzech rychło się poprawili.

Pierwszy poprawił się Kazik: nauczyli go kole-dzy grać w fortecę i młynek, zaprzyjaźnił się potem z chłopcem, który spał na łóżku czternastem. —

Drugi, Józio, dostał list z domu, że ojcu lepiej na nogę i niedługo będzie mógł wrócić do pracy. — A trzeci najdłużej nie mógł się poprawić, usłyszał wreszcie modlitwę lasu i stał się dobry i miły.

Czem jest modlitwa lasu i dlaczego się ten trzeci poprawił, ma jutro pan opowiedzieć...

Historja trzech łózek, chociaż prawdziwa, bardzo się podobała, bo każdy ciekaw był wiedzieć, kto też spał w jego łóżku, co robił, jak się nazywał.

— Niech pan króciuteńko opowie historję mojego łóżka, proszą chłopcy...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Modlitwa lasu. — Wieś ma serce. — Chłopiec, który najpóźniej się poprawił.

Nazajutrz wieczorem śpiesznie myli chłopcy nogi, bo wydano czystą bieliznę; a przebieranie się, oddawanie i składanie brudnej zajmie sporo czasu, i pan może nie zdążyć opowiedzieć o modlitwie lasu i o tem, jak się ostatni z trzech chłopców poprawił.

— Proszę pana, już leżemy.

— Proszę pana, już...

Cisza oczekiwania zaległa salę, — niktby nie uwierzył że w 40 łózkach, poustawianych rzędami, leżą chłopcy, — tak było cicho.

— Więc co to ja chciałem powiedzieć? Aha, prawda, o trzecim chłopcu. — Otóż z tym trzecim chłopcem, który miał w Warszawie przyjaciela Julka, — stał się cud pewnego wieczora. Tego naj-

gorszego, który najpóźniej się poprawił, z którym najdłużej nie chciano się bawić, — najprzód polubił dozorca, potem grupa cała, wreszcie cała kolonja.

A z cudem tak się rzecz miała:

Był cichy wieczór kolonijny.

Dzieci spać się pokładły.

Przez otwarte okna widać było niebo, dobre, wiejskie niebo, które kocha dzieci i patrzy na nie w dzień uśmiechem słońca, w nocy śpiewa im cichą kołysankę migotaniem gwiazd. Patrzy przez otwarte okna dobre wiejskie niebo i cieszy się, że dzieci śpią, że obudzą się wesołe i wyspane i rozpoczną przerwana zabawę.

Okna były otwarte.

Przez otwarte okna płynęło do sali czyste, dobre powietrze wiejskie, które kocha dzieci, chce, żeby były wesołe i zdrowe. — Dobre, wiejskie powietrze na lekkich skrzydłach cicho płynęło przez salę, zatrzymywało się na chwilę koło każdego łóżka, całowało śpiącego chłopca w czoło i szeptało: — Śpij spokojnie, zbieraj siły, — mężniej, krzepnij, wzrastaj.

Drzwi od sieni były uchylone, przez uchylone drzwi słychać było granie skrzypiec. — Skrzypce dziękują wsi, że wieś kocha dzieci miasta...

„Wieś kocha, powietrze całuje, niebo słońcem się uśmiecha“? — Jak wieś może kochać, kiedy nie ma serca, jak powietrze może całować?

Jak las może się modlić? — Boć o modlitwie lasu mam dziś opowiedzieć.

Wieś ma serce, chłopcy. Wieś ma potężne ramiona, któremi jak dobra piastunka, tuli do piersi

swej miasta. Wieś ma pierś szeroką, którą nas karmi i grzeje. Wieś przygarbiona, pochylona w pracy. — Jak korzenie starego drzewa, na skroniach żyły jej nabrzmiały; każda trawka łąki, każde ziarno kłosu znojnym potem stokrotnie zwilżone. — Wieś ma oczy, zapatrzone w niebo, lasem, jak płucami oddycha. Gdy westchnie, aż wicher wyje, jak zapłacze, deszcz strumieniami płynie. A kiedy wieczorem klęknie do modlitwy, to wiewiórki, ptactwo i motyle cichną, by jej nie przeszkadzać. I jakżeby znów wieś serca nie miała, jakżeby ten łagodny, pracowity olbrzym mógł żyć bez serca, które nawet jaskółce potrzebne, by gniazdo zbudować i kilkoro piskląt małych wyżywić?

Wieczorem wieś modli się polem, łąką, rzeką, lasem — śpiewem bardzo cichym, tak cichym, że wsłuchać się trzeba uważnie, by ten szept, ten śpiew wieczorny usłyszeć...

Trzeci chłopiec, który najpóźniej się poprawił, usłyszał śpiew lasu.

Przyjechał, jak wy wszyscy. Nie znałem go, jak nie znałem żadnego z was dnia pierwszego. A kiedy go poznałem pomyślałem zaraz:

— Ten chłopiec usłyszy, jak las śpiewa. Oby jak najprędzej usłyszał śpiew lasu.

I czekałem.

Czekałem tydzień, dziesięć dni, dwa tygodnie — i doczekałem się wreszcie tego wieczora, o którym mówię, kiedy przez otwarte okna dobre, wiejskie niebo patrzyło na salę, przez uchylone drzwi słychać było granie skrzypiec, a las cicho śpiewał.

Kiedy już wszyscy chłopcy zasnęli, on jeden nie spał. Leżał cicho koło samego okna — oczy miał otwarte i słuchał.

I nagle się rozplakał.

Usiadłem koło łóżka i zapytałem:

— Dlaczego płaczesz: czy ci się dom, Warszawa przypomniały?

— Nie, nic mi się nie przypomniało.

— Może co złego zrobiłeś i boisz się, że się wyda?

— Nie, nic nie zrobiłem.

— Więc dlaczego płaczesz?

— Sam nie wiem.

Nie wiedział, czemu płacze, ale ja wiedziałem: chłopiec usłyszał rzewny, serdeczny śpiew wieczorny lasu, usłyszał cichą modlitwę drzew — dlatego się rozplakał.—Dziwna, cudowna to modlitwa: las gada, niebo mu odpowiada. — Mówią o dzieciach, które mogą być dobre i miłe; jeśli niemi nie są, nie zawsze ich w tem wina. O różnych rzeczach mówią.

Zapytacie może: skądże wiem, że chłopiec usłyszał rozmowę drzew z niebem, jeśli sam o tem nie wiedział?

Kto usłyszy modlitwę lasu, temu się tak jakoś dziwnie robi na duszy, że płacze, a jednak nie jest mu smutno, — płacze, sam nie wie czemu. A naza jutrz jest zawsze lepszy dużo lepszy, niż przedtem, gdy śpiewu nie słyszał.

I chłopiec, który przez dwa tygodnie nie mógł się poprawić — odrazu się poprawił — i kolonja zy-

skąła w nim wesołego towarzysza zabaw: berka, palanta, zbijaka, trzeciaka.

Być może, że i wśród was są tacy, którzy modlitwę lasu słyszeli, pytać się jednak nie należy, bo kto usłyszał, ten zachowuje cud swój w tajemnicy, cudowną melodię nosi głęboko w duszy, — nikomu nie rozpowiada.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kąpiel. — Pływanie po żabsku i po piesku. O gramatycznym Łazarkiewiczu.

Idziem, idziem do kąpeli,

Wrócim czyści i weseli.

Lewą, prawą, dalej żwawo,

Idziem wszyscy wraz.

Mały szmat lasu obok Łysej Góry, łąka z dróżką wąską koło rowu — już rzekę widać zdaleka.

Wstyd się lękać zimnej wody

Musi zuchem być kto młody.

Jak ta rybka zwinna, szybka,

Buch do wody, buch!

Znacie tę piosenkę? W Michałowce chłopcy pod takt tej samej piosenki maszerują parami do rzeki.

Tak tu, jak i tam, kąpiel jest najmiłą rozrywką.

Już od rana wdrapują się na słup werandy, gdzie wisi termometr: czy aby panowie nie powiedzą, że zimno?

— O-o, dziś pewnie zimna woda — mówi ktoś nieoględnie.

— Żeby była gorąca, tobyś się głupi poparzył. I dają mu kuksa w bok, żeby był cicho.

— Pójdziemy do kąpieli, proszę pana?

— Chyba nie: wiatr silny.

— To lepiej, proszę pana: wiatr zimno z wody wyciąga.

Nie lubi zimnej wody jeden tylko Władek. Więc kiedy były imieniny Władków, wszyscy Władkowie dostali na cały dzień łopaty, jemu pan pozwolił umyć twarz i ręce, — a szyję i uszy dostał w prezencie.

Najbardziej chyba kąpać się lubi przyjaciel Wikci i najlepiej pływa z całej kolonji.

— Umiesz pływać?

— Umiem.

— Porządnie czy po żabsku?

Kto pływa po żabsku albo po piesku, ten rękami zupełnie jak pies łapkami, bije — bije wodę i ledwie się trzyma na powierzchni. Podobne pływanie żadnego nie budzi szacunku.

— Umiesz dawać szczupaki?

— Owa, wielka sztuka.

— Sztuka nie sztuka, a jak dasz szczupaka na brzuch, to ci pęknie wątroba i umrzesz.

Dają szczupaki niskie z brzegu i wysokie z barjery łazienki. Dają nurki krótkie i długie, płytkie i głębokie.

— Ja, żeby mi nie przeszkadzali, tobym już pół łazienki przepłynął...

Rozmowa na temat kąpieli nigdy się nie wyczerpie.

Jak się kto pływać nauczył?

— Mnie raz piłka wpadła do wody, ale nie moja, tylko chłopaka. Kazał sobie zapłacić dwadzieścia groszy — nawet nie warta była. Taka złość mnie wzięła, że myślę: albo się utopię, albo ją wyratuję. — Włazę do wody, ale tak się boję, że strach.

— No i co?

— A no nic: wyratowałem piłkę i pływać się nauczyłem.

— Ale troszkę już umiałeś? — badają przezorniejsi.

— No, troszkę to umiałem.

Drugiego znów chłopcy wrzucili do wody w łazience w Warszawie — zaczął się grzebać byle jak, wody się tak nachłapał, że potem godzinę w nosie go kręciło. Ale już potem pływał...

Kiedy się kto topił i jak go wyratowano?

— Ja raz się kąpałem na otwartej Wiśle. A jeden pan pływał na stojąco i udawał, że gruntuje. Puściłem się — i buch w dziurę. A on mię za łeb i do góry.

— A mnie ratunkowy raz wyłowił.

— Najgorszy jest kurcz w wodzie.

— E-e, wir jeszcze gorszy.

Starają się przekonać panów, że właściwie człowiek nie może się utopić, bo jak się położy na plecy, woda sama wypchnie go do góry, jak korek. — Starają się przekonać panów, że łazienka w Wilhelmsówce jest dla chłopców zupełnie niepotrzebna i można ją dziewczynkom podarować.

— Dziewczynki mają swoją łazienkę.

— Niech mają dwie, będzie im wygodniej.

Tacy szcudrzy, tak dbają o wygodę dziewcząt...

— Łazienka jest nieodzownie potrzebna — mówi Łazarkiewicz. — Gdyby się kto z nas utopił, rodzice rościliby do panów pretensję.

Łazarkiewicz czyta dużo książek i lubi mówić mądrymi książkowemi słowami, co śmieszy kolegów okropnie.

— Jesteś impertynent — mówi Łazarkiewicz, gdy mu kto dokuczy...

Kiedy raz chłopiec, rozmawiając z panem, trzymał ręce w kieszeni, Łazarkiewicz zwrócił mu uwagę:

— Zachowujesz się niewłaściwie, okazujesz panu lekceważenie. Pan może się czuć tem dotknięty.

I dodał:

— Nieobliczalne tego mogą być skutki.

Kiedys ktoś inny powiedział, że dziadek jego jest stary, Łazarkiewicz sprostował natychmiast:

— Niefortunnie się wyraziłeś, o człowieku mówi się wiekowy, a nie — stary.

I dodał:

— Czystość języka jest cnotą narodu...

Kiedy chciał panu powiedzieć, że głowa go boli, oznajmił:

— Pragnę zakomunikować panu, że czuję się nieswojo.

— Pokaż język — powiedział pan — gdyż nieobliczalne tego mogą być skutki.

— Zdaję sobie sprawę — odparł Łazarkiewicz z westchnieniem — zagraża mi łyżka rycyny.

Kiedy chłopiec zerwał świeżą gałąź na pokrycie szalasu, Łazarkiewicz rzekł:

— Złe rokujesz na przyszłość nadzieje.

A gdy Wiktor mały, który robił pędzelki z zapalek do jodynowania zadrapań — zapytał raz:

— Czy ptaki ją twaróg?

Łazarkiewicz zawołał w uniesieniu:

— Popełniłeś błąd skandaliczny!

Śmieją się z Łazarkiewicza; ale ma on już we krwi, że musi tak mówić — i musi pielęgnować czystość polskiej mowy — i dzięki jego uwagom przestano poniekąd mówić:

— Dziewczynki poszli, przyszli, wzięli...

— Dziewczynka jest rzeczownikiem rodzaju żeńskiego, więc mówić się godzi: przyszły, poszły, wzięły. Nieobliczalne takiego mówienia mogą być skutki — dodaje tajemniczo.

On jeden interesuje się przyszłą powieścią o Wilhelmówce i jakkolwiek uważa, że szkoda papieru na notowanie wszelakich głupstw, które mówią zarówno on, jak wszyscy chłopcy, jednakże prosi, by go nie pominąć w powieści, i dodać że Łazarkiewicz był gramatyczny...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zabawa, godna pogardy. — Wolni strzelce.

Osada myśliwska. — Wodociąg indyjski.

Zabawa w indjan powstała z zabawy w złodziei. — Kładziono na kupę kije, szyszki, gałęzie, niby, że są to rzeczy; przychodzi złodziej i kradnie;

łapacze gonią i gwizdzą, nadbiegają posterunkowi, biją i prowadzą złodzieja do komisariatu.

— Zabawa godna pogardy — orzekł gramatyczny Łazarkiewicz, który zna dużo indyjskich imion, i jemu należy się honor odkrycia zabawy w strzelców.

Za krzyżem, w dzikiej części lasu, gęsto porośłego jałowcem, w odludnem ustroniu obozują indjanie. Naczelnikiem jest Prawe Serce; Pogromca Tygrysów, Orle Skrzydło i Jeleń Wrzący dzielnie mu pomagają, a gospodarstwo prowadzi Magda.

Magdą jest znany pożeracz żab — Boćkiewicz. Skąd polska Magda wzięła się wśród czerwonoskórych, któż zgadnie? Może uprowadzono ją jeszcze w dzieciństwie, może zbiegła z domu prześladowana przez okrutnego ojczyma, a może znaleźli ją zabłąkaną w dziewiczym lesie?

Koło pnia ściętego, w kotlinie, okrytej ze wszystkich stron jałowcem, jest obóz i zbrojownia. W zbrojowni mają myśliwi szyszki i strzały, łuk i rusznice i dużo kości zabitych zwierząt.

Indjanie są chrześcijanami. Przed każdą wyprawą składają pod krzyżem kwiaty lub zawieszają wianuszek, upleciony przez Magdę, potem zasiadają kołem i odśpiewują pieśń myśliwską, która zaczyna się od słów:

Z łukiem, strzałą w dłoni,

Zboczem leśnych wzgórz,

Dzielny strzelec goni

Od poranka już.

Tra-la-la, tra-la-la, tra-la-la.

Część upolowanej zwierzyny zjadają, a część ukrywają w spiżarni. Spiżarnia jest zdaleka od obozu. Trzeba dojść do krzywej choiny, potem czternaście kroków na południo-wschód, i tu pod gęstym jałowcem jest głęboka piwnica, osłonięta kratką z patyków, przykryta suchym mchem, liśćmi i igłami. Dno piwnicy wysłane widłakami. Tu mają w zapasie dwa kawałki chleba, nadziane na rożen, koszyczek z sitowia, pełen jagód i dwie wiśnie, starannie owinięte w liście kapusty.

Raz blade twarze, Kopeć, Czarciański i Górski, wysledzili ich kotlinę. Od tej pory zawsze jeden pozostaje na czatach, powracający strzelcy zbliżając się dają hasło kukulki; a stojący na czatach, musi im odpowiedzieć. — Jeszcze większe środki ostrożności zachowywane są, gdy Magda idzie do spiżarni: Prawe Serce i Orle Skrzydło stoją w zasadce koło krzywej choiny, o czternaście kroków od piwnicy, Jeleń Wrzący i Pogromca Tygrysów obchodzą całą okolicę i jeśli nie zauważą nic podejrzanego, wywieszają białą chorągiew.

W święta indyjskie przybierają się w widłaki, zamiast piór, stroją głowę w tatarak i sitowie — ucztują w kotlinie, potem śpiewają i opowiadają myśliwskie przygody.

Raz zbłąkany podróżny przyszedł do obozu indjan. Choć była to blada twarz, ale gość — przyjęli go więc i nakarmili. Podróżny był możliwym władcą i odwdzieczył się gościnnym gospodarzom: przyniósł kawał ciasta i kubek poziomek; cieszyła się Magda, zbogaciwszy tak swoją spiżarnię.

Indianie stali się modni od tej pory i na górce, gdzie później powstała Łysa Góra — mieliśmy teraz obóz myśliwski wolnych strzelców. — Strzelcy zajmują się i rolnictwem potrochu — mają pługi, łopaty, brony, widły, stajnie, konie i lejce.

Najlepszym koniem jest mały, czarny Józik Przybylski: ciągle chce jeździć.

— Już jeździłeś, odpocznij teraz — mówi Oko Sowy — ale koń parska, rwie się i dęba staje.

Najlepszym zajęcem jest Niewczas, a psem — Felek, który chorował na zapalenie płuc, jest bardzo chudy i nie widać go w wysokiej trawie stepowej.

— Hau, hau, hau, hau — szczeka pies grubym głosem.

Paszczka Hjeny strzela z łuku; a raniony zajęc piszczy:

— Pi, pi, pi, p-i-i-i-i!

Kiedy strzelców było już tylu, że nie obawiali się napadu, zaczęli budować domy. — Przepraszam, źle się wyraziłem. — Nie były to domy, — a pieczary, jaskinie, — nie budowano ich, a kopano w ziemi, — tylko dachy były z gałęzi. Daleko jeszcze tym dzikim ludziom do budowania kunsztownych szałasów...

Największa jest jaskinia Pajera, zwanego Frajerem Pompką, Czeczota, Pasiewiczza i braci — bliźnięt Lenczewskich, bardzo do siebie podobnych.

Najmocniejszy dach ma jaskinia Klimczaka, Nowaka i Faszczewskiego, bo kiedy była wielka ulewa, wszystkie dachy poprzeciekały, tylko ich dach deszczu nie puścił.

Stachlewskiego pieczara miała dwie cegły — ale Stachlewski „skoknął“ na dach Podkowskiego i musiał dać sąsiadowi jedną cegłę, jako odszkodowanie.

I tu, jak wszędzie — ciągle wprowadzano liczne ulepszenia;—a więc obok jaskini zjawiały się powoli płoty, potem ogrody, dalej — w samych jaskiniach robiono kominy — schowanka na siano dla koni, kołki do zawieszania łuków i strzelb, piwnice, półki i spiżarki na narzędzia rolnicze—potem stoły, łóżka, a Gałęzowski urządził nawet wodociąg i zlew — tylko że z wodociągu woda nie leciała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**Poziomki są mniej ciekawe od grzybów.
Mania kropeczka i czar z fartuchem.
Duże mrowisko pod grubem drzewem.**

Na werandzie wisi tablica z rysunkami grzybów trujących i jadalnych. Dopóki grzybów nie było, tablica wisiała samotna, opuszczona. Były wówczas poziomki, które każdy zna doskonale bez tablicy i zjada bez obawy. Wprawdzie w „Podarunku“ ktoś czytał, że 5000 Francuzów otruło się wilczemi jagodami, ale któż wilczej jagody od poziomki nie odróżni?...

Jak teraz proszą chłopcy:

— Psz pana, na grzyby.

Tak wtedy prosili:

— Psz pana, na poziomki!

Poziomki są jednak mniej ciekawe od grzybów, bo są jednakowe, a grzyby różne: maślaki, kurki, podgrzybki, koźlarze, prawdziwce. A przytem poziomek nie można suszyć: albo zjesz, albo oddasz komu, i już po zabawie.

Chłopcy chętnie częstują poziomkami dziewczęta. bo są rycerscy, nie boją się w las daleko zapuszczać. Ten i ów ma siostrę małą — co taka głupia nabiera — więc da jej garstkę poziomek: niech się tam cieszy.

— Chcesz poziomki, mała?

— Chcę — mówi Nelka, uradowana.

— To twoja znajoma? — pyta się pan, zdziwiony szczodrobliwością chłopca.

— Nie, nieznajoma.

— Więc dlaczego jej dajesz poziomki? — pyta pan bardziej jeszcze zdziwiony.

— Bo niedojrzałe, — mówi rycerski chłopiec: dojrzałe słodkie pozjadał, a mała Nelka, — co ona się tam zna?

I tacy dobroczyńcy bywają, przysłowie mówi o nich: „naści nieboże, co mi wleźć nie może“...

Z grzybów żółte kurki są w ogólnej pogardzie.

— Dla kurków nie warto się schylać.

Ale, że jest ich dużo, szkoda zostawić, więc zbierają je chłopcy na prezent, albo później zamieni całą czapkę kurków na jednego maślaka.

Najniebezpieczniejszy z trujących grzybów jest szatan, bo do prawdziwca podobny.

— A wiesz, jak prawdziwca od szatana odróżnić?

— Bo szatan gorzki.

— Widzisz go: będzie dopiero gryzł. Szatan ma czerwony ogonek, a łeb jak czekolada.

— Jak czekolada?

I zaraz Jasiek przypomina sobie śmieszną historję.

— Raz mama kupiła czarne, pachnące mydło, a mały brat myślał, że to czekolada i ugryzł, a potem pluł, tak się krzywił i pluł, pluł...

Śmieją się do rozpuku z Jaśkowego brata:

— To ci fujara dopiero.

Na długie gawędy jednak czasu niema. Wszyscy chodzą pochyleni z głowami ku ziemi; co najwyżej mijając się pytają:

— Dużo masz, pokaż. — O, to koźlarz.

— Koźlarz to prawie tak jak prawdziwiec.

— Ale on pewnie robaczywy?

— Tylko go nie łam.

Starszy Frankowski znalazł maślaka, Zdzisiek Waliszewski dwa prawdziwce, nawet mały Zabucki, który trzy razy miał dostać po łapach, znalazł prawdziwca.

— Daj widzisz,—prosi go najstarszy Bednarski—tobie to na nic, bo ty nie suszysz.

Takiego zaszczytu dostąpił Zabucki, że sam nawet Bednarski go prosił. I Zabucki, który raz miał dostać po łapach, bo popsuł mrowisko, drugi raz miał dostać po łapach, bo wlaź w zboże, i trzeci raz miał dostać po łapach, ale już zapomniał za co — podarował najstarszemu Bednarskiemu prawdziwca.

Trąbka — podwieczorek w lesie!

Dziewczynkom panie wydają podwieczorek, chłopcom -- panowie.

— Proszę pana, chłopcy się przezywają.

— Co mówią?

— Mówią, że my mamy żaby w mleku.

To jeszcze nienajgorsze; bywa i tak, że dziewczynki siądą sobie spokojnie, a łotrzyk jaki prawdziwą żabę między nie puści. Żaba ucieka, dziewczynki uciekają, — ale robić tego nie wolno, bo żaba nie piłka, a żywe stworzenie.

Naogół jednak, Zofjówka i Wilhelmówka w przykładnej żyją zgodzie; niektóre dziewczynki cieszą się wśród chłopców dużym szacunkiem — naprzykład Mania Wdowik, zwana Kropieczką, która ma okropne szczęście do grzybów i jest bardzo nerwowa. — Raz wszyscy przechodzili koło drzewa, nikt nic nie widział, a Kropieczka tylko spojrzała, odrazu dwa grzyby znalazła. Ale nie za to szanują tak ją chłopcy, tylko że ładnie deklamuje.

Kiedy raz wieśniacy młócili u gajowego, a Mania deklamowała im, jak zboże rośnie, jak się sieje, a potem kosi—to aż jej podziękowali, kapitan „Błyskawicy“ zaprosił ją na swój okręt, a Wiktor, który robi pędzelki do jodynowania zadrapań, podarował jej tutkę od fajerwerku.

Kropieczką nazywają Manię dlatego, że deklamuje wierszyk o Bronisi-beksie, która tak często płakała, aż zachorowała na oczka i już na oczka nie widziała prawie.

Więc doktora z czarną brodą

Do Bronisi łózka wiodą.

Wyjął pędzel i flaszeczkę,

Puścił w oczko... kropieczkę.

Ponieważ doktor puścił Bronisi w oczko kropeleczkę, więc ktoś nazwał Manię—Kropeleczką, i tak już do końca zostało.

Mania nie zawsze się gniewa, że ją Kropeleczką nazywają, ale kiedy jest zdenerwowana, to tego nie lubi; raz nawet Kazika za ucho wytargała; Kazik się niby śmiał, a ucho miał czerwone.

Czasem Mania jest taka zła, że nie wiem. Raz siedziała na oknie, a brat ją rozzłościł, zamachnęła się na niego, przez okno wyleciała — dobrze, że na parterze mieszka, bo się zabić mogła.

— U-u-u-u — zaczęli chłopcy płakać i oczy trzeć na myśl, coby to było za nieszczęście, gdyby się Kropeleczka zabiła.

Mania się rozgniewała, zaczęła bić chłopców, że sobie z niej żartują, potem opowiedziała jeszcze jedną ciekawą historję.

Raz w Zofjówce rozmawiała z dziewczynkami o strachach, i zrobił się czar. Bo jedna dziewczynka położyła pod drzewem fartuch, bo przy studni wodą go oblała. — Nagle oglądają się, fartucha niema. — A gałęzie na drzewach tak się ruszają, tak się ciągle ruszają.—A zdaleka przez drogę idzie pan w kapeluszu, miał łaskę taką zakreconą. Wtedy Mania się przeżegnała, i fartuch pod innem drzewem się znalazł.

U-u-u-u — zaczęli wołać chłopcy i trzęśli się ze strachu, że takie straszne rzeczy opowiada im Mania.

— U-u-u-u, Kropeleczko, co to za czary?

A Kropeleczka powiedziała, że jeśli nie przestaną, to się rozpłacze, bo jest bardzo nerwowa i nigdy już nic im nie powie.

I opowiedziała dalej, że jej dziewczynka nogę podstawiła naumyślnie, potem się tłómaczyła, że nienaumyślnie, ale to nieprawda — że dziewczynki bardzo lubią się kłócić, a potem mówią:

— Poczekaj, powiem twojej mamie na stacji.

Że bardzo lubią Polcię, bo jest sprawiedliwa dyżurna, a Wacia daje chleb grubo posmarowany tylko swym znajomym, a Olesia zawsze mówi prawdę w oczy, ale nigdy nie obgaduje.

Kropeczka byłaby długo jeszcze opowiadała, ale Franek znalazł ogromne mrowisko pod drzewem, i trzeba było obejrzeć mrowisko, nakarmić mrówki chlebem z podwieczorku.

— Nie uradzi sama. — Uradzi. — A nie; widzisz, poszła zawołać na pomoc.

Mrówki podrobiły chleb na małe kawałki i wnoszą je w głąb mrowiska.

— Tam są korytarze i pokoje.

Opowiadają teraz, co czytali o mrówkach, ich krowach, wojnach.

— O, i po drzewie chodzą.

— Uch, jakie to grube drzewo.

— Daj, ja obejmę.—A ty obejmiesz?

Każdy chce teraz objąć grube drzewo, a ostrożniejsi przestrzegają, żeby mrówek, które chodzą po drzewie, nie udusić, żeby mrowiska nie uszkodzić.

Trąbka. Do domu na kolację.

— Ju-u-uz?

Sporo czasu upłynie — zanim trzysta dzieci się zbierze.

— Oj, gdzie ja byłem, tak daleko.

— Patrzcie go, tak daleko był i kurków nazbierał, a ja byłem bliżutko i dwa prawdziwe znalazłem.

— A jeden chłopak znalazł takiego prawdziwca, jak czapka.

— A nasz pan znalazł cztery prawdziwce i dwa maślaki.

— A ja znalazłem scyzoryk — mówi Tomaszewski.

I ci wszyscy, którzy zgubili scyzoryki, oglądają, czy to nie ich czasem.

— Czasem to może twój, ale nie zawsze — mówi Tomaszewski.

Przychodzą spóźnieni.

— Uch, gdzie ja byłem. Trąbkę tak było słyhać, że ledwo-ledwo, jakby bąk bzykał.

— A ja zbierałem za szosą.

— A nas chłopcy ze wsi gonili. Górski się przewrócił i wszystkie grzyby mu się wysypali.

— Grzyb jest rzeczownikiem nieżyjącym — mruczy chmurnie Prawe Serce.

Układny Czesio Gryczyński zbiera grzyby dla pani gospodyni, mały Frankowski niesie w czapce pełno mucharów.

— Rzuć głupi, bo krost na głowie podostajesz. A Ciamara oznajmia z powagą:

— Ja cały czas byłem przy panach.

Jeszcze by też: mało się strachu najadł, gdy wczoraj zginął w lesie.

— Proszę pana, a jak dwóch jednego grzyba razem zobaczy, to kto go ma wziąć? — pragnie ktoś rozstrzygnąć zawile prawne pytanie.

— A Bednarski to taki oszust. Znalazłem prawdziwca, on powiedział, że to szatan; jak ja rzuciłem, to on wziął i potem się śmiał, poco rzucałem.

A ja Piechowicza chcę podać do sądu, bo on się rzuca grzybami w oko.

Jeszcze i jeszcze powraca ktoś ze spóźnionych.

— Wszyscy są.

— Wszyscy.

Ruszamy przez las. W drodze Zofjówka z Wilhelmówką walczy na szyszki.

— Proszę pani, chłopcy szyszkami rzucają.

— Proszę pana, dziewczyny szyszkami rzucają.

Koło polanki rozchodzimy się.

— Proszę pana, już nie chcę Bednarskiego podać do sądu, bo on mi dał za grzyb łódkę z kory.

— A ja Piechowiczowi przebaczyłem.

— Że się grzybem ciska w oko?

— Że się grzybem ciska w oko.

— Tem lepiej.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Straszna przygoda Ciamary, którego oczarował Kowalski. — Paluszek prorokiem. — Trzy grzybki i czy się Ciamara poprawił?

Jak wiadomo z poprzedniego rozdziału, Ciamara zabłądził w lesie. To było straszne zdarzenie.

Wszyscy już się zebrali, ci nawet, jak Kopeć, Czarciański i Górski, na których zawsze czekać trzeba, — a Ciamary nie widać i nie widać. — Niema wątpliwości, że zginął...

Tyle razy się powtarzało, tłumaczyło, prosiło:

— Chłopcy, nie oddalajcie się, bo zabłądzicie. Pilnujcie się, bo las ma trzy mile.

A ot, Ciamara wziął i zginął.

Kiedy wydawano w lesie podwieczorek, był jeszcze, bo dostał swój chleb z masłem i dwa jajka, — jeszcze go później widział Cieniewski, ale potem już nikt go nie widział.

Cóż robić? Nie można trzymać wszystkich w lesie, bo pani gospodyni czeka z kolacją. Zostało trzech panów, żeby szukać Ciamary. A reszta — do domu z sercem, przepełnionem obawą i troską.

I już o niczem się teraz nie mówi, tylko o strasznych wypadkach.

— W zeszłym roku w Psiarach także chłopiec zginął. — A dwa lata temu aż trzy dziewczynki zabłądziły. — A Tomek Subocz, jak był mały, zabłądził w Warszawie i w komisarjacie u posterunkowego nocował.

A Stefan z okna wypadł; innego mama tasakiem w rękę uderzyła, jak drzewo na podpałkę rąbała. Zdzisiowi raz węgiel upadł na palec, aż mu się paznokieć urwał. — Janek z huśtawki spadł na Saskiej Kępie. — A Wojdak szkłem od kałamarza tak się skaleczył, że mu palec wisiał na skórze, ale potem przyrósł, tylko jest znak teraz.

Wszyscy ciekawie oglądają znak na palcu Wojdaka i każą mu kiwać palcem, czy się rusza.

— Kiwnij jeszcze raz, — proszą, — ja jeszcze nie widziałem.

Ale Wojdak kiwa tylko starszym chłopcom, bo dla malców się nie opłaci, bo i tak się na tem nie znają.

Gadu, gadu, — a Ciamary nie widać i nie widać.

— Pewnie go wilki zjedzą.

— Eee, wilków to w lesie niema. Ale jeden chłopak z grupy C, trzy sarny widział, i nie uciekły.

— A jakże: sarna od małego dziecka ucieknie.

— A dzik to się rzuca na człowieka.

— Mój brat, jak szedł, to mu wiewiórka koło nogów przeleciała i poszła, — powiada mały Stefek, który się lubi wtrącać do rozmowy starszych.

— Ważna rzecz: mnie sto wiewiórek koło nogów przeleciało.

— Dopełniacz liczby mnogiej od noga jest nóg, a nie nogów, — prostuje gramatyczny Łazarkiewicz, który ma we krwi, że musi poprawić, bo czystość języka jest cnotą narodu...

Co będzie, jeśli się Ciamara nie znajdzie?...

Tymczasem rozeszła się pogłoska, że Ciamara nie sam z siebie zginął, tylko go Kowalski z grupy B oczarował. (Kowalskich jest aż trzech na kolonji).

Było to tak:

Gdy pan wydawał w lesie podwieczorek, Ciamara nie przyszedł, tylko para wzięła dla Ciamary jajka i chleb i poszła go szukać. A Kowalski z grupy B widzi, że para Ciamary cztery jajka ma w ręce, więc zaraz pyta:

— Skąd masz cztery jajka?

A para Ciamary odpowiada:

— Te dwa jajka są dla Ciamary.

A Kowalski z grupy B mówi:

— Daj mi jedno jajko.

Ale para nie chciała, rozumie się, dać jajka.

Wtedy Kowalski powiedział:

— O, jaki ty jesteś rzetelny. Zobaczysz, że i tak nie znajdziesz Ciamary.

Wprawdzie para znalazła Ciamarę i jajka mu oddała, ale za to Ciamara zginął.

Kowalski z grupy B jest strasznie chytry na jajka; Ańdziakowi powiedział, że zjadłby od razu sto jajek — więc pewnie przez złość oczarował Ciamarę.

Podczas kolacji Paluszek przepowiedział, że Ciamara napewno się znajdzie i chciał się nawet założyć z Cieniewskim, że wróci.

Skąd znowu Paluszek zrobił się tak wielkim prorokiem, że aż chciał się założyć?

Oto podczas kolacji ułało się Paluszkowi trochę mleka z łyżki, i z tego mleka zrobiło się na stole ładne, równiuteńkie jajeczko. A Kowalski z grupy B chciał patykiem rozmazać to jajko po stole, ale nie mógł rozmazać, bo się ciągle znowu jajko robiło. I Paluszek poznał, że Kowalski stracił nad Ciamarą czarodziejską moc.

Ciamara nazywa się właściwie Szczepański, nazwali go tak chłopcy dlatego, że wiecznie się spóźnia, że na modlitwę, na obiad, czy do łóżka, zawsze jest ostatni, zawsze trzeba go szukać i czekać na niego.

Paluszek także się nie nazywa Paluszek a Paluszkciem został dlatego, że nie chciał dać równouprawnienia kobietom.

Raz przyjechał z Warszawy pan na kolonję i miał trzy pogadanki dla chłopców i dla dziewczynek. Pan pokazywał modele zdrowego serca tych, którzy nie piją wódki i chore serce tych, którzy wódkę piją.

Potem było głosowanie, kto myśli, że dobrze pić wódkę, kto myśli, że źle.

Potem pan mówił, że trzeba kochać wszystkie dzieci, nawet czarne dzieci murzyńskie i żółte chińskie dzieci z warkoczykami. I znowu wszyscy podnosili palce na znak, że kochają czarne dzieci i żółte dzieci z warkoczykami.

Wreszcie pan mówił o tem, że chłopcy wcale nie są ani mądrzejsi, ani lepsi od dziewcząt. Kobiety tak samo pracują jak mężczyźni, więc powinny mieć takie same prawa. — I znowu chłopcy podnosili palce na znak, że chcą, aby kobiety miały prawa; tylko Paluszek siedział sobie i nie chciał głosować.

— A twój paluszek? — zapytał się pan, który zauważył, że Paluszek nie podniósł paluszka.

— Ja nie chcę, żeby kobiety miały prawa — powiedział Paluszek, — i przez niego jednego wszystko się popsuło, — i dlatego nazwano go Paluszkciem, wielkim wrogiem kobiet, — i tak już zostało do końca sezonu.

I pomyślcie tylko, — wróg kobiet tym razem miał jednak słuszność. Ciamara wrócił, — i nie panowie go wcale znaleźli, a on sam wziął i wrócił.

Gdy Ciamara dostał od swojej pary chleb i jajka, poszedł zbierać grzyby. Potem jeden chłopiec powiedział że wie, gdzie są trzy małe grzybki, ale ich nie chciał zrywać, niech przez noc większe urosną; a drugi znów chłopiec powiedział, że nigdy w lesie nie zabłądzi, chociaż lasu nie zna, bo kieruje się słońcem; jak ma po prawej stronie słońce, zagłębia się w las, a jak po lewej, znaczy, że wychodzi z lasu.

Ciamara wziął słońce z prawej strony i poszedł szukać trzech małych grzybów. Najprzód spotykał chłopców, potem nikogo nie widział. Ale się nie bał, tylko usiadł i czekał na trąbkę. Potem mu się znużyło siedzieć i znów szedł, ale już nic nie widział; zaczął płakać, bo zobaczył jakieś górki, a z tych górtek szedł czerwony blask. Potem zdawało mu się, że słyszy trąbkę, ale bał się iść, bo nie wiedział, dokąd. Więc ukląkł pod drzewem i zaczął się modlić, żeby go Pan Jezus wyprowadził z lasu. I zaraz usłyszał znowu trąbkę i zaczął iść bardzo prędko, ale się widać omylił i wyszedł nie do panów, a na szosę.

Usiadł na kamieniu przy szosie, bo nie wiedział, w której stronie kolonja, więc czekał, żeby się kogo zapytać.

Przechodził pastuch, — nie chciał odrazu powiedzieć.

— A co mi dasz, jak ci powiem?

— Nic nie mam — mówi Ciamara — tylko chustkę do nosa.

— To daj chustkę do nosa.

— Chustki do nosa nie dam, bo kolonijna, toby się pan gniewał.

I dobrze, że nie dał chustki, bo później szli ludzie z sierpami i zaraz poznali, że Ciamara zabłądził.

— A poco głupi odłączyłeś się od panów?

— Chciałem trzy małe grzybki znaleźć.

— Poczekaj, dadzą ci teraz panowie grzybki.

Odprowadzili Ciamarę aż do polanki, a z polanki sam trafił.

16 Myślicie, że się Ciamara poprawił? Nie, — w dalszym ciągu się spóźniał, tylko już nigdy nie brał słońca z prawej strony i nie szukał małych grzybków, które mają przez noc urosnąć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Śpiewy. — Wielkie przeszkody przy śpiewach. Legenda o pieśni.

Po pierwszym śniadaniu na werandzie odbywają się śpiewy; że jednak rano jest najwięcej grzybów, bo w nocy powyrastały, a jeszcze nie wyzbierane, — więc chłopcy uciekają, jak mogą, ze śpiewów, a ci mniej śmiałej natury, którzy na werandzie zostają, są w złych humorach, i raz wraz podczas śpiewów rozlegają się skargi:

— Proszę pana, on się pcha.

— Proszę pana, on się kopie.

— Psz pana, on nie daje siedzieć.

— Psz pana, on się bierze i się szczypie.

— Jeden z dozorców, człek ambitny a ufny w siłę swej wymowy, powziął myśl dumną, by zwalczyć w chłopcach niechęć do śpiewów.

— Chcecie chłopcy, opowiem wam bajkę?

— Chcemy, — odpowiedzieli, a gdzieniegdzie rozległ się głos pojedynczy:

— Nie mówi się chcemy, tylko — prosimy.

Działo się to podczas drugiego śniadania, kiedy chłopcy spokojnie zajadali chleb z masłem, kiedy więc nikt nikomu nie przeszkadzał i nie wołał:

— Proszę pana, on mi zamienił widelec.

Albo:

— Proszę pana, on mi dmucha w zupę...

Taką opowiedziano im bajkę:

Kiedy caluchny świat był już stworzony, skończony, gotowy, — każdy przyznać musiał, że jest bardzo piękny. — Pośród falujących mórz rozrzucony był ład koloru czekolady, na lądzie usypane były góry i nasadzone lasy. Szczyty gór przysypane były puchem śnieżnym, podnóża wysłane miękką trawą, utkaną kwiatami białymi, niebieskimi, żółtymi i czerwonymi.

W lasach było wiele rozmaitych zwierząt, małych i dużych, wcale do siebie niepodobnych. Na drzewach ptaki wily swe mieszkania, a same pływały w powietrzu na żaglach z różnobarwnych piór, Królem ptaków był orzeł.

Nie wiedzieli ludzie, że orzeł tak wysoko fruwa, aż powyżej księżycy, słońca i wszystkich gwiazd. Orzeł nie mógł powiedzieć, bo nie miał wcale głosu, jak nie mieli głosu ani zwierzęta, ani lasy, ani morza, ani ludzie. — Wszystko było tak samo piękne, jak dziś, tylko ciche, nieme, więc smutne.

Razu pewnego wzbil się orzeł tak wysoko, że aż dofrunął do nieba. Patrzy, a tu aniołowie zebrali się i na coś czekają. A tu jeden anioł przyniósł złotą skrzynkę, otworzył ją brylantowym kluczem i wyjął sznur pereł; rozwiązał jedwabny sznurek i zaczął wszystkim aniołom perły rozdawać, każdemu po jednej. Wielki był przy tem porządek, żaden z aniołów nie pchał się, nie kłócił, nie skarżył i nie krzyczał.

— Mnie, — mnie, — mnie!

A orzeł patrzy zdziwiony, bo nie wie, co z tego będzie.

Kiedy perły były rozdane, aniołowie usiedli na ławkach, każdy umieścił w anielskiem gardziółku otrzymaną perłę, — i zaczęły się śpiewy. — Ach jakie to było cudowne! — Orzeł płakał i śmiał się z radości, a kiedy wrócił na ziemię, było mu strasznie smutno, nic go nie bawiło, ani wysokie skały, ani kołysanie się morza, ani mieniące się gwiazdy, ani śnieg lśniący, — myślał tylko o złotej skrzynce, gdzie były schowane — perły pieśni.

— Ukradnę je, pomyślał wreszcie.

Zauważyły ptaki, że ich król jest smutny, że stracił apetyt i sen, chowa się po dzikich szczytach i często na długo gdzieś znika, — i tem smutniejsze były, że nie mogły ani pomówić o tem, ani zaśpiewać, bo były nieme.

Aż zakradł się orzeł do nieba, a kiedy aniołowie spać się pokładli, dziobem i pazurami otworzył skrzynkę aż dziób mu się zakrzywił i wygięły i pokrwawiły pazury, — porwał sznur pieśni i dalejże na ziemię. — Ale czy o gwiazdę zahaczył, czy przepalił o słońce, dość że pękł sznurek jedwabny, i perły jak deszcz się posypały.

Jedna perła wpadła w morze, i morze śpiewać zaczęło, druga padła w las, i las zanucił pieśń, — i zaszemrał strumień i zagadały góry.

Ptaki myślały, że to muszki padają i najwięcej pochwytały małych perełek i teraz najwięcej śpiewają.

Na progu chaty siedział chłopiec i dmuchał w drewnienko, w którym dziurki powywiercał, — i nagle w jedną dziurkę wpadła perelka pieśni, i fujarka nucić zaczęła.—Ucieszył się chłopak i po raz pierwszy zawołał:

— Ach, jak pięknie.

Największą perłę pochwycił orzeł i ukrył w szczelinie. Ale złe sumienie nie dawało mu spokoju. Księżyc, gwiazdy i słońce wołały nań ciągle;

— Złodziej! — Ukradł! — Złodziej!

Orzeł darował ostatnią perłę słowikowi, słowik dał ją jaskółce, a jaskółka człowiekowi.

Trzy dni tylko były anielskie perły na ziemi, bo roztopiły się i w mgle wieczornej uniosły się znów do nieba.

Ale już człowiek nauczył się naśladować głosy wszystkich perel: i tej z morza, i tej z gór, i tej z lasów, — bo taką była moc największej perły.

Od tej pory orzeł nie wzbija się już tak wysoko, ma krzywy dziób i zakręcone pazury, słowikowi wolno śpiewać tylko po zachodzie słońca, jaskółce pozwalają ludziem mieszkać w swojej chacie, a człowiek włada pieśnią, która naśladuje wszystkie głosy i towarzyszy mu w smutku i w weselu, przy pracy i w boju.

Należy kochać i szanować pieśń, bo pochodzenie jej anielskie; dało nam ją poświęcenie królewskie i przywiązanie wiernej, małej ptaszyny.

Pan B, który was uczy piosenek, kocha śpiew i smuci go, gdy głupie grzyby przekładacie nad

królewsko-anielską pieśń. Jeśli ma ładną melodję, mówi:

— Szkoda dla chłopców, popsują ją.

Bo pieśń można popsuć, gdy się jej nie szanuje, zniszczyć, jak ładną książkę, poszarpać, jak obrazek, dany w ręce głupiemu dziecku. — Wsłuchajcie się uważnie w melodję piosenki: „Ja tratwę z liści zrobię“, — będziecie w niej mieli szum wioseł i plusk rzeki. — W piosence: „Z łukiem w dłoni“ — macie echo gór i trąb i strzałów. — W piosence: „Hej dzwonią dzwonki“ — znajdziecie wszystko, co śpiewa łąka i pole i las. A kiedy zaśpiewacie je sobie w Warszawie, przypomną wam się kolonje i będzie wam wesoło, czy przy pracy w warsztacie, czy wieczorem po nauce.

Chłopcy zjedli już chleb z masłem, więc trzeba było zakończyć.

— Nie będziecie uciekali ze śpiewów?

— Nie będziemy.

— Nie będziecie kłócili się podczas śpiewów?

— Nie będziemy.

Dozorca, człek ambitny i ufny w siłę swej wymowy, bardzo był z siebie zadowolony; na nieszczęście jednak w nocy padał deszcz, a wiadomo, że po deszczu jest najwięcej grzybów; więc nazajutrz znów, kto śmielszej natury, wymykał się z werandy do lasu, — może tylko troszeczkę rzadziej słychać było podczas śpiewów skargi:

— Proszę pana, on nie daje śpiewać.

— Proszę pana, on się bierze i szczypie.

— Proszę pana, on się pluje w ucho.

**Obiad. — Sposób na to, by zostać hrabią.
Kłopoty dyżurnych. — Dwie muchy w zupie.**

Ponieważ w „Mośkach, Joskach i Srulach“ mówiłem o przylepkach, jajeczniczy, brzydkich i pięknych widelcach, powtarzać już nie mam potrzeby.

— I tu, jak w Michałowce, o ile sam obiad nie dostarcza ciekawego materiału do rozmów, gawędzi się o rzeczach postronnych:

Że w szkołach chińskich nauczyciel bije uczniów w pięty, że najlepszy stopień jest rzymska piątka, że dawniej ludzie byli jak pierwsze piętro, że jedna pani miała w nosie ząb.

Czasem zagadkę kto zada:

— Co to za zwierzę, co ma cztery nogi i pierze?

— Człowiek — zaryzykował powiedzieć ktoś ot, na chybił trafił.

— Idź głupi, żebyś powiedział — ptak — toby się jedno przynajmniej zgadzało.

— Łóżko — zgaduje ktoś dobrze — i rozpoczyna się spór, czy zgadł, czy dawniej już wiedział — że łóżko nie ma pierzy, tylko poduszka, że łóżko wcale nie zwierzę.

To znów chwali się który, że wie, kiedy urodził się Jan Sobieski i Tadeusz Kościuszko, i jak będzie po francusku kapelusz i dziękuję...

Czasem zamieniają się chłopcy jedzeniem:

— Ty mi daj buraczki, ja ci dam mięso.

— Całe dasz mięso?

— Takiś ty mądry?...

A jeden chłopiec kupił od sąsiada zielone szyszki dla małego brata.

— A za co kupił?

— Za masło. Pozwolił mu masło zlizać ze swojego chleba.

— Jakże to, językiem, dał masło zlizać z chleba?

— Eee, nie językiem, tylko palcem...

Kiedy w poniedziałek jest ciasto, obliczają ile mąki wyjść mogło na tyle ciasta.

Czasem ktoś komuś obrzydza jedzenie; na ryż mówi, że klajster, albo że widział, jak kucharka robiła kotlety z żabiego mięsa.

— A co?.. Prawda proszę pana, że hrabiowie jedzą przecież żaby?..

— To i ty zjedz żabę, będziesz hrabią, fujaro.

Czasem ktoś kogoś trąci, miskę zrzuci, mleko wyleje. A raz Bóg ukarał Staśka, bo taki chytry: miał jeszcze pół kubka mleka i pcha się o dolewkę; ale kubek się gibbonął i jeszcze ze swego mu się wylało...

Kiedy czego nie lubią, pilnować trzeba, żeby zjadali. Na makaron wołają: rury gazowe, albo kanalizacja.

Zato ci co lubią makaron, a i tych jest sporo, zjadają po trzy miski i dmuchają:

— A tom się najadł, aż mnie boki bolą.

Kiedy raz podano na drugie śniadanie chleb z miodem, trzeba było śpiwyy przerwać, takie było zamieszanie.

— Dyżurni oblizują miód.

Dyżurni dowodzą, że im się palce lepia, więc muszą oblizywać—jedni się cieszą, a drudzy martwią, bo ich zęby bolą od miodu..

Już też dyżurni nigdy wszystkim dogodzić nie mogą. Tomek Galas nie lubi boćwiny i ma żal, że dyżurny umyślnie kazał mu śmieci nakłść do zupy. Temu noża nie dali, tamtemu widelca.

— Ważny dyżurny, zawsze mu coś brakuje. Słuchaj pożycz mi noża.

Jeśli sąsiad użyty, noża pożycz, a jak nieużyty, nie da i basta.

— Poczekaj, pożalujesz. Jeszcze mnie o co poprosisz...

Co prawda dyżurnego pilnować trzeba, bo czasem nadużywa swej władzy; faworyzuje znajomych, a krzywdzi, gdy się z kim pogniewa.

Raz Achcyk chciał przyszyć guzik, więc poszedł do dyżurnego krawca po igłę i nici. Ten dał mu nitkę, a igły dać nie chce.

— Dla ciebie i nitki będzie dosyć — powiada.

— Jawna nedorzeczność — twierdzi Łazarkiewicz — nitką guzika, jak świat światem, nikt jeszcze bez igły nie przyszył...

Raz gospodyni ugotowała grzyby, które chłopcy zebrali sami. Było to najwyższe szczęście, jakiego dostąpić może człowiek. Jeść grzyby i wiedzieć, że się je własnym okiem wyszukało, własną ręką zerwało, we własnej czapce niosło. Byli tacy, którzy poznawali kawałki swoich grzybów.

— Widzisz, ten kawałek jest z mojego maślaczka...

Przy jagodach nie mówi się ani o biciu w pięty, ani o rzymskich piątkach, ani o zębach w nosie.

— Patrz, ja mam więcej.

— Nieprawda, wszyscy mają po równu.

— O, jakie się mleko niebieskie zrobiło.

— Nie jedz, bo się otrujesz: to farbowane jagody, lepiej daj mnie.

Szereg ważnych zagadnień się zjawia:

— Czy mleko cukrzone, że takie słodkie? Czy jagody z naszego lasu.

I liczne projekty:

— Żeby były bez mleka, toby je można scho-
wać. Z jagód można wasy pod nosem malować.

I malują wasy, okropnie to pięknie wygląda...

Czasem zdarzy się coś naprawdę śmiesznego:

Janek położył na chlebie z twarogiem trzy zna-
lezione w lesie poziomki. Chleb trzyma bardzo
ostrożnie, bo poziomki leżą na samym końcu, na
deser. A tu go chłopak trącił, i dwie poziomki zle-
ciały; mało cały chleb nie spadł na ziemię, bo go
Janek trzymał tylko końcami palców, lekko i ostrożnie.

A znów raz, to było sto pociech. Gonily się dwie
muchy i z całego rozmachu wpadły w zupę Kara-
śkiewicza—uważacie? akurat w zupę, i odrazu dwie
muchy i akurat w talerz Karaśkiewicza.

— Ratujcie ludzie, bo chyba pękne ze śmiechu.

Karaśkiewicz stropił się zrazu, potem sam śmiać
się zaczął.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY

**Sprawa o domek Paulinki. — Pobór do wojska.
Pułkownik Suchta. — Wojna.**

Już obie armje stały w szyku bojowym, gotowe
do walki, gdy odczytano krótki wyrok w sprawie
o zniszczenie domku Paulinki, Todzi i Zosi.

Gazeta „Wilhelmówka“ w numerze poświęconym wojnie, tak o tem zdarzeniu mówi:

„Za chwilę bój, za chwilę dziewczynki, jako siostry miłosierdzia, troskliwie pielęgnować będą rannych rycerzy. Czyż dziw, że w tak ważnej chwili Paulinka, Todzia i Zosia przebaczyły wyrządzoną im szkodę? — Wilhelmówka — brat, Zofjówka — siostra. Siostra przebaczyła bratu. Niema gniewów, waśni, ani uraz wzajemnych. — Niech żyją w zdrowiu i weselu. — Vivat!“

— Vivat! wołali chłopcy i dziewczęta, — las, forteca, pole, łąka...

— Paulinka taki ładny miała domek.

Między sosnami ziemia starannie wygładzona i schludnie przysypana żółtym piaskiem. Domek między sosnami rozdzielony patyczkami na dwa pokoiki i kuchenkę. Z piasku ładnie uklepany stół, dwa krzesła, łóżko, komoda, na komodzie lustro z deseczki i wazoniki z szyszki; a w wazonie kwiaty. W kuchence na kominie w pudełku od zapalek gotowała się kartoflanka z kulek jałowca. A jeszcze na stole dla przystrojenia pokoju, leżały dwa guziki.

Obok domku ogródek, w ogródku łubin, dzwonki leśne, bławatki, nieśmiertelniki. Cztery klomby i sześć zagonów.—Przy pracy w ogrodzie pomagali i chłopcy. Kopeć zrobił ogrodzenie z patyków, Boćkiewicz piasek nosił, ale go dziewczynki Wojtkiem nazwały, więc się obraził i poszedł; potem wrócił znowu, tylko piasku nosić już nie chciał.

Taki ładny był domek Paulinki,—przyszli chłopcy do Zofjówki i wszystko zniszczyli. Najprzód było ich

dwóch: duży i mały, potem przyszło ich czterech. Jeden wskoczył na stół z piasku, — mówi, że to ambona:

— Słuchajcie dziewuchy, kazanie wam powiem.

I popsuł stół, tak ładnie uklepany, zniszczył wazonik z szyszki z kwiatami, zginęły dwa guziki, którymi był stół ozdobiony.

— Poczekajcie, paniom powiemy,—mówią Bronia, Helenka i Zosia.

— Dużo się boimy.

A jeden chłopiec mówi do chłopców:

— Nie psujcie, bo one przecież pracowały. Widzicie, jakie wy świnię.

Potem przybiegły dziewczynki, — ze dwadzieścia, — ale się bić z chłopcami nie chciały, a wreszcie i tak był już domek popsuty. Tylko potem Józia, którą nazywają Herodem, powiedziała:

— Szkoda, że mnie nie było: takie bym im grzanie wyprawiała, żeby popamiętali.

Chłopców, którzy się do udziału w napadzie przyznali, było siedmiu, a sądziły ich właścicielki domku: Paulinka, Todzia i Zosia.—Naprzód chciały tak chłopców osądzić, żeby za karę cały dzień w łóżku leżeli, ale zaraz potem im przebaczyły.

Pamiętacie plan fortecy z Michałówki? — Otóż i tu taka sama była forteca, tylko po obu stronach pierwszego fortu wznosiły się dwa wysokie kopce: prawy kopiec pułkownika Suchty i lewy pułkownika Robaka.

Zgadnijcie, jak z pośród 150 chłopców wybrano dwunastu wodzów do dwunastu pułków?

— Zapewne wybrano najsilniejszych?

— O nie, sama siła tu nie wystarcza.

— Więc najwaleczniejszych?

— I to nie, bo skąd przed bojem wiadomo, kto będzie waleczny?

Dwunastu wodzów dla dwunastu pułków wybrano w następujący sposób:

Podczas obiadu ogłoszono pospolite ruszenie i wydano rozkaz, aby się po obiedzie chłopcy nie rozchodzili z werandy.—I zaraz po obiedzie część chłopców pobiegła do lasu, reszta czekała, czekała, czekała, ale widzą, że poboru do wojska niema i niema, więc znów część poszła sobie, reszta niecierpliwić się i sarkać zaczęła, — zostało na werandzie niespełna trzydziestu.

— Pewnie pan zapomniał? — powiadają.

A to sobie dobre: ogłosić pospolite ruszenie i zapomnieć.

— Jakto, tylko tylu zostało? — Hm, to mało, bardzo mało. Chodźcie chłopcy, pójdziemy kręcić wodę do studni; bo Jan z koniem pojechał do Goworowa po mięso, więc pani gospodyni prosiła, żebyście wy dziś kierat kręcili.

— Eee,—rozległ się pomruk rozczarowania. Czekali tak długo, a teraz mają wodę kręcić?

I po drodze do kieratu część chłopców znikła w lesie, a wodzami zamianowano tych, którzy najpracowiciej i najzgodniej wodę kręcili.

— Bo dobry wódz musi być karny, cierpliwy, rozumny, zgodny; chcąc by go słuchano, sam musi dzielnie spełniać rozkazy.

Nazajutrz ponownie ogłoszono pospolite ruszenie, tym razem już wodzowie pilnowali porządku, a pobór odbył się natychmiast po obiedzie; wszyscy musieli być obecni pod grozą niebrania udziału w wojnie. Słabi i malcy szli do bocznych fortów, mali a dzielni szli do pułków Suchty i Robaka na kopce, a cały fort pierwszy i centrum ze sztandarem, razem dziewięć pułków, spoczywały w rękach generała Goreckiego.

Każdy z naczelników otrzymuje kartkę ze spisem nazwisk żołnierzy, do jutra musi zapoznać się ze swym pułkiem; jutro, podczas przeglądu wojsk, zda z czynności swych sprawę. Kartka dla większej powagi nazywa się kancelarią pułkową...

Nazajutrz przegląd wojsk i wręczenie sztandarów.

— Pułk pierwszy!

— Jestem — salutuje pułkownik.

— Papiery kancelarii?

— W łóżku pod poduszką zostawiłem, bo się bałem, że zgubię.

— Na wielki przegląd wojsk przychodzisz, pułkowniku, bez listy żołnierzy?

Nagana!...

— Pułk drugi. Pułkownik Osuchowski.

Papiery w porządku, ale nie zna swoich żołnierzy.

— Jeśli ich nie znasz teraz, kiedy stoją w spokojnej kolumnie, jakże ich poznasz, pułkowniku, w kurzawie boju, walczących, rannych i zabitych, — skąd wiedzieć będziesz, który z nich walczył mężnie lub opuścił pozycję?

Nagana!...

— Pułkownik Suchta.

— Jestem.

— Kancelarja?

— Jest, — owinięta w gazetę, żeby się nie pobrudziła, nawet nie zgnieciona, bo na wiórku ułożona starannie.

— Doskonale. Imiona żołnierzy, pułkownika?

— Szymczak, Kletke, Pyrzak mały, Śniatała Tyszkiewicz, Królikowski, Maciejewski, Dydek, Krzysztofik, Kwas.

— Żadnych skarg niema?

— Skarg niema, jest prośba. Pyrzak pragnie być w parze z Królikowskim, bo to jego kuzyn.

— Dobrze, niech zmieniają pary.

— Druga para: Pyrzak i Królikowski, trzecia Tyszkiewicz i Śniatała — wydaje zlecenie Suchta.

— Jaką zajmuje pułk czwarty pozycję?

— Prawy kopiec pierwszego fortu.

— Jakie jest wasze zadanie?

— Nie dać obejść pierwszego fortu od tyłu.

— Oto wasz sztandar pułkownika Suchta. — Wzorowo, pułkowniku. — Niech żyje pułk czwarty i wódz jego, Suchta!

— Vivat! Vivat! Vivat!

Aleksander Suchta ma łzy w oczach, ale łzy takie, łzy dumy i zadowolenia, nie przynoszą ujmę honorowi wodza.

— Pułk piąty prowadzi Robak, — siostra będzie śledziła losy brata zdaleka! Pułk szósty prowadzi jednooki Michalski, pułk siódmy Kreciński.

Do Krecińskiego po wojnie pisali rodzice z domu: „Cieszy nas bardzo, że zostałeś pułkownikiem. Teraz pewnie nie będziesz już latał z chłopakami po podwórku“.

Widocznie pułkownik Kreciński trochę za mało siadywał w Warszawie przy książce, za wiele na dworze; taka już widać żołnierska natura...

Tomczyk prowadzi pułk ósmy, Słabik dziewiąty. Grątkowski z pułkiem dziesiątym, Bieńkowski z jedenastym i generał Gorecki z dwunastym stać będą w centrum fortu przy sztandarze.

Napad liczy tylko trzy pułki, nie trzeba sił jego rozpraszać na dużym terenie, — im mniej wodzów, tem lepiej. Środek napadu prowadzi Wojciechowski lewe skrzydło Forysiak, prawe Tyczyński.

Jesteśmy na wałach. Rozlega się trąba wojenna.

— Czy wszystko w porządku?

Pułkownik Suchta raportuje:

— Żołnierz Śniatała z czwartego pułku pragnie przed bitwą pożegnać się z siostrą.

— Słusznie. — Kto jeszcze pragnie pożegnać się z siostrą, kuzynką, znajomą?

Wódz lewego kopca, Robak—nie chce się żegnać, nie wolno mu się wzruszać przed bitwą; mały Krawczyk uprosił, by siostra Julcia była obok niego. A że fort boczny jest poza niebezpieczeństwem, więc pozwolono tam urządzić stację ratunkową i dano nawet jedno łóżko z polowego szpitala.

— Żołnierz z czwartego pułku Śniatała, wyjdź z szeregu i pożegnaj się z siostrą.

Wybiegła Helenka Śniatała, którą nazywają dziewczynki Cyganką, bo opalona, — objęli się z bratem gorąco, serdecznie — i popłakali oboje. A wiadomo już z wojny w Michałówce, że kto płacze na polu bitwy, ten jako ranny lub chory, idzie do lazaretu. Zabrały więc siostry miłosierdzia Czeška Śniatałą pod swoją opiekę, i nie brał udziału w bojach.

Tu dodam, że w szpitalu mamy pięć łóżek, szpital otoczony jest wałem, a dowództwo nad nim spoczywa w jednej ręce pułkownika Bońskiego. Boński ma tylko jedną rękę, bo w dzieciństwie sieczkarnia odcięła mu drugą. — Pamiętacie zapewne kulawego Wajnraucha z Michałówki: tam on zawiadywał szpitalem.

Trąbka długa, przenikliwa, wojenna, — naprzód! — Naprzód!

Pierwszy z napadu Aleksander Balasiński szybko się przezegnał, zwiesił głowę ku ziemi, jak tur rozgniewany i rzucił się do ataku.

Oto wiadomości telegraficzne z placu boju korespondenta gazety „Wilhelmówki“.

Godzina 4, min. 10.

Pierwszy mężny atak napadu odparto. — Aresztowany za bicie i znęcanie się nad nieprzyjacielem żołnierz Czarciański. — Odznaczył się męstwem żołnierz Tomczuk.

Wydano dodatkowy cyrkularz, że aresztowany będzie każdy, kto drze koszule. — Wolno tylko spychać rękami lub ściągać z wału.

Szpital polowy, godz. 4, min. 15.

Ranni: Niemczuk (płakał); Smolarek, Pajer starszy, Dąbrowski, Maciejewski (koszule podarte). —

Siostry miłosierdzia zaszywają rannych. — Życiu żadnego nie zagraża niebezpieczeństwo.

Godzina 4, min. 30.

Drugi atak odparto.

Dowództwo drugiego pułku objął Stachlewski; pułk ósmy objął Tadeusz Dąbrowski.—Aresztowani, Andrzejczyk i Kopeć. Odznaczyli się: Machlewicz, kuzyni: Pyrzak mały i Królikowski—i cały pułk czwartym; gdyż napad drugi skierowano na kopiec Suchty.

Godzina 4, min. 45.

Trzeci atak odparto.

Żołnierz Nowakowski wyrwał pochwycony już przez Faszczewskiego sztandar pierwszego fortu. — Sanitarjusz Walczyński samowolnie opuścił szpital i walczył w szeregach obrony. — Sent z napadu walczył po trąbce, wzywającej do odwrotu.—Aresztowany Tykwiński za bicie po plecach.

Szpital połowy.

Siostra miłosierdzia Zatorska oddała własną czapkę rannemu, który zgubił czapkę podczas bitwy.—Siostra Paulina pielęgnowała rannego, który brał udział w napadzie na jej domek.—Odznaczyły się: Rosińska, Sarnecka, Łuczowska i wiele, wiele innych. — Redakcja wznosi na ich cześć z głębi serca płynące: *Vivat!*

Godzina 4, min. 55.

Fort pierwszy zdobyty.

Szczegóły w liście...

Jak wiadomo, napad dla odróżnienia od obrony, zdjął bluzy i walczył w koszulach. I oto napad użył fortelu: część napadu, ukryta za wałem, po-

ubierała bluzy, niepostrzeżenie zmieszała się z obroną i wywołała zamieszanie i popłoch.

Zanim obrona zrozumiała, co się stało, sztandar pierwszego fortu został zdobyty.

Zupełnie niesłusznie oburzał się generał Gorecki. Niedosć być mężnym, należy być przewidującym, spostrzegawczym, uważnym, zawsze przygotowanym na podstęp i zasadzkę nieprzyjaciela. — To też niedługo trwał gniew; traktat pokoju, spisany przy drugim forcie pogodził napad i obronę, a reszty dokonał śpiew chóralny obu kolonji przy zapalonym stosie, żywy obraz w ogniu bengalskim i fajerwerki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Listy. — Kochani rodzice, czego i wam życzę.

Pan nie umie listów pisać. — Echo domu.

Nie można pisać o kolonji i nie wspomnieć choćby w krótkości o listach. Toć codziennie choć kilku chłopców listy otrzymuje, a piszą je z wielkim hałasem, wielkimi przygodami i licznymi skargami raz jeden w tygodniu.

— Proszę pana, on zabrał mi pióro, nie chce dać atramentu, zamazał, kleksa zrobił, pcha się, przeszkadza, zagłąda...

Kto wie, jak trudno dwum chłopcom przy stole zgodnie się posługiwać jednym kałamarzem, ten kłótnie przy pisaniu listów musi uważać za tak naturalne, jak zamykanie oczu, gdy się zasypia, lub wycieranie nosa, gdy się ma katar.

— Proszę pana, on mnie ciągle trąca.

— Ja go wcale nie trącam, tylko on pisać nie umie, kozaków nasadził i teraz mnie się czepia.

— Proszę pana on pisze: kochani rodzice, czego i wam życzę, — a nie napisze: jestem zdrów.

— Bo mi się tak podoba, a ty sobie odejdz.

Zaglądanie do cudzych listów nie należy do dobrego tonu, ale opuszczanie: jestem zdrów, jest upodobaniem co najmniej dziwnem.

— Proszę pana, ile ja ważę, bo zapomniałem, a chciałem napisać.

I pisze zadowolony:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem zdrów, ważę 57 funtów i chodzę do lasu i kąpię się i jestem zdrów.

— Głupi, dwa razy pisze, że jest zdrów.

— No to co? Bo zapomniałem...

I tu jak w Michałowce, ten i ów zwraca się do pana z prośbą o napisanie listu.

— Nie chodź do pana, pan tak zmęczy, jak ma list napisać.

Ale Tomek woli — bo będzie ładniej.

— Napisać, że cię kucharka pomywakiem z kuchni wygoniła?

— Nie, tylko, że grzyby w kuchni suszę.

— A że ci dyżurny kazał śmieci w zupeę nawkładać?

— Eee, takie głupstwa.

— A że rwałeś ostrą trawę i palec skaleczyłeś?

— Ooo, biedne dzidzi, w paluszek mu się kukusio zrobiło.

— Odejdź żel — Tomek jest już zły, że poszedł do pana.

— A bratu się w liście pokłonić?

— Eee, kłaniać mu się tam znowu.

— A może ucałować.

— Jeszcze czego?

Ten pan zupełnie listów pisać nie umie, Najlepiej iść do pana, żeby polinjował, a potem poprosić chłopaka...

Stefan Frankowski pisze, a Kazik Frankowski chodzi mu pióro maczać — i ani się biedak nie domyśla, że brat kreśli na niego fatalny akt oskarżenia:

„Kochani Rodzice, jesteśmy zdrowi, ja ważę 59 funtów, a Kazik 52, i Kazik źle się sprawuje. Jemy 5 razy dziennie, i Kazik lata za chłopakami i woła: „ośla głowo“, i wszystkich zaczepia, i Piechowicz chce go oddać do sądu. Czy Jadzia jest zdrowa i niech mama napisze, żeby był greczny. Do widzenia“.

A ukończywszy list, Stefan powiada:

— Poczekaj, dostaniesz ty od mamy.

Różne nowiny są w listach dzieci:

Chodzimy na jagody, — śpiewamy, a pan B. gra na skrzypcach, — sypialnia jest taka czysta, że ani jednej pluskwy niema w łóżku, — dostałem 5 ze sprawowania, — mięso tu się i co dzień, tylko w piątek to się nie i mięsa.

„Widujemy się ze Stachą, — pisze Janek, — Stacha odebrała wczoraj list i przybyło jej cztery fonty i całuję ręce tatusia i mamusi 100,000,000 razy“.

Są i skargi w listach: chłopcy się przezywają, biją, domki psują. Smutno mi przez mamy i przez taty.

Są pytania w listach: czy stryjo znalazł robotę, czy Maniusi wrzód pękł, czy Januś jest już zdrow, czy były już chrzciny i jak się malutki nazywa?

Są w listach i zlecenia: niech Wicuş nie pisze, bo go nie mogę przeczytać, — niech Polek przyniesie mi na stację nową czapkę, — niech mama pokłoni się wszystkim z całego korytarza. — A pułkownik Suchta zapytuje, czy Karola zmienia książki w czytelni, bo jak nie, to niech go wypisze z czytelni, bo nie wolno dłużej jak dwa tygodnie, książek trzymać.

W listach rodziców są rady i napomnienia: bądź grzeczny, słuchaj się pana, — i wiadomości, najczęściej wesołe, żeby dzieciom nie psuć zabawy.

Tatuś zdrowszy, Maniek pracuje i ma obiecane pięć rubli na miesiąc, — a Władzia pisała do Kielc, żeby Karol przysłał buty na zimę, bo te są już podarte i zimy nie przetrzymają.

Czasem tylko: moje zdrowie niebardzo, — uzali się matka, — państwu Szpakowskiemu umarł ten maluchny chłopczyk; — i troskliwe pytanie: czy ci nie smutno, nie tęskno za domem?

Czasem w domu ktoś tęskni.

— Wracaj już, — pisze z Warszawy Stefan do brata — bo nie mam się teraz z kim bić.

Raz Jakubowski, i o tem osobno się wspomnieć go dzi, napisał, że jest mu wesoło, tylko czasem wieczorem „nawiedza go tęsknota, myśli lecą do ukochanych“.

Ach, jak niecierpliwie chłopcy oczekują listów z domu.

Kiedy trzech bracia Gajewscy otrzymali kartę, każdy chciał ją pierwszy przeczytać, — pobili się, kartę rozdarli, potem się dopiero pogodzili, — złożyli ją i przeczytali nie bez trudu, bo była zgnieciona.

Boćkiewicz kładąc się do łóżka, co wieczór to samo pytanie zadaje:

— Proszę pana, pan znowu powie, że ja jestem nieznośny nudziarz i że pan już ze mną nie może wytrzymać, ale niech pan powie, jak się panu zdaje: czy ja jutro dostanę list?

— Pięć listów jutro dostaniesz, tylko kładź się prędzej i śpij.

— Pan tak mówi tylko, żeby się odemnie odczepić, — ciągnie Bociek, uklepując już po raz dziesiąty poduszkę i prostując jakąś fałdę na prześcieradle.

Aż dopiero chłopak który huknie na niego:

— Bociek, położysz ty się czy nie? Przez niego pan bajki nie może zacząć!

Podczas pisania listów obowiązkowo ktoś co tydzień wylewa atrament. W drugim tygodniu wylał atrament Balasiński, ten sam, który w wojnie pierwszy się rzucił do ataku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Na polance. — Palant, wąż i warcaby. — Bajki o Smoku.

Między laskiem kolonijnym a dużym lasem ciągnie się polanka. Jeśli pogoda niepewna, albo czasu już niema na spacer w głąb lasu, wychodzi się na polankę i każdy robi co chce.

Część chłopców gra w palanta. — Jedni tracą metę w palancie, drudzy zarabiają. Tu są matki, bachory, półmetki, ściery, wykupy, dogrywki; tu krzywe nie idą; tu są tacy, co świecę jedną ręką łapią, a inni wołają:

— Nie łap, sparzysz się.

Tu piłki giną, pękają, — tu ktoś głupi się wkręci, przez niego metę się traci; inny przeszkadza, umyślnie się nadstawi, żeby metę odebrać. — A ci, co metę wzięli, do góry czapki rzucają na wiwat...

Gdzieś na ustroniu wyścigi, berek kucany albo drewniany, a wreszcie — latawiec.

Wiatr silny, latawiec dobrze pójdzie w górę, — latawiec wielki, z płótna na ramce z deseczek, z ogonem na trzy łokcie chyba.

— Pójdzie, — nie pójdzie, — pójdzie, o idzie, — o spada!

— Niedobry wiatr.

Wiatr dobry, tylko latawiec niema wagi w ognie. Cztery płócienne czapki przywiązuje się do ogona, żeby miał wagę.

— Teraz pójdzie. — O, idzie. O, jak idzie równiutko. — Pociągaj za sznurek. — Nie ciągnij.

— O, jaki małutki. — A jaki ogonek. — A czapek już wcale nie widać...

— Chciałbym być taki wysoki, jak ten latawiec.

— Może jeszcze urośniesz, poczekaj...

Tam znów węża robią chłopcy: biorą się za ręce, dwudziestu, trzydziestu, — najsilniejsi prowadzą, zakręcają, rozwijają węża; im kto bliżej końca, tem

mu trudniej nadażyć, aż cały ogon — z dziesięciu chłopaków,—urwie się z rozmachem i poprzewraca.

Tu i owdzie rozłożyli się na trawie, grają w warcaby i młynek, a przezorniejsi z góry wymawiają:

— Biję się w tył czy nie biję? Z chuchami gramy czy bez chuchów? Tylko wymawiam: podpowiadać ani oszukiwać nie wolno.

Z początku brano książki na polankę, ale raz Achcyk zgubił książkę, gdzie było od samego początku o dzikich ludziach, a potem o pogrzebie szczura, a dalej już zapomniał co było, bo dalej nie czytał jeszcze.—Wydano więc zakaz brania książek do lasu. Ale Achcyk znalazł książkę i jeszcze cudzą czapkę znalazł w procencie, i Wiktor Mały wziął zabawki i książki pod swoją opiekę, więc znów wolno je brać na polankę.

Jakubowski czyta o kuropatwach, o weselu zięby, o jeżu.

— Jeź żywi się pędrakami.

— Widzisz: tobą się żywi, bo ty pędrak.

— Przestań, cicho bądź, nie przeszkadzaj.

— Ale najgorzej, jak który przy bajkach przeszkadza...

W Michałowce najpiękniejsze bajki opowiadał Najmajster, w Wilhelmówce — Kaza. Nie znaczy to by i inni nie umieli opowiadać; ale albo nie tak ciekawie, albo nie tyle, albo nie takie długie.

— Więc słuchajcie.

Zaczyna słuchać zwykle niewielu; ale coraz to ktoś przystanie, potem przykłąknie, potem usiądzie, — i powiększa się grono słuchaczy.

— Nie pchajcie się, bo mówić nie można.

Czasem zbliży się ktoś w połowie bajki, ale zna początek lub się domyśli; albo nie może się już po-
łapać i zasmucony odchodzi; albo na następną czeka,
nudzi się tymczasem i słuchać innym nie daje.

Czasem biegnie ktoś z ważną nowiną, widzi, że bajka, milknie i szybko odchodzi.

— „Więc królowna idzie... idzie... idzie przez las, ale tak jej się chce pić, że już nie wiem. Ale patrzy, a tu rzeczka, taki strumyk przepływa. A to na-
umyślnie tak zrobił ten czarnoksiężnik, co wtedy z djabłem grał w kości“.

— O patrzcie, jaki robaczek.

— Gdzie robaczek?

— Cicho tam z tym robaczkiem znowu. Nie chcecie słuchać, to sobie idźcie.

„Więc królowna nic nie wiedziała i napiła się wody i odrazu zrobiła się cała czarna. Ale nic. Idzie... idzie... Ale patrzy na ręce: czarne,—patrzy na nogi: także czarne,—zupełnie jak z atramentu“...

— Te, przestanieś się piaskiem sypać?

— To ty dlaczego mi w ucho słomę kładziesz?

— Żebyś myślał, że ci mucha chodzi po uchu i żebyś się podrapał.

— Przestańcież tam.

I znów w najciekawszym miejscu, gdzie rycerz z nadludzkim wysiłkiem odczarował już królownę do szyi, bo głowa jest najtrudniejsza, — znów ktoś dziurawy listek znajdzie, albo zdechłego chrabąszcza, albo zauważył kurzajkę na ręce sąsiada. I znów:

— Przestańcież tam, — idźcie sobie.

Ten i ów w kark nawet dostanie, gdy mocno już zniecierpliwi słuchaczy.

„A królowna z lwem wsiadła do ostatniej karety i jadą. — Jak goście w pałacu zobaczyli, że królowna z lwem siedzi w karecie, okropnie się przestraszyli“.

Bajka dobiega do końca, który głosi:

„I ja tam byłem, miód i wino piłem; po brodzie kapało, a w gębie nic nie zostało“...

— Dwie dziurki w nosie i skończyło się, — mówi ktoś, wygrzebując się z trudem, kulejąc, bo sobie nogę odsiedział.

A pozostali, nienasytzeni, proszą:

— Powiedz jeszcze. Jak jesteś zmęczony, to powiedz jaką krótką.

— O Śnieżce znacie?

— Ja znam, ale nie szkodzi.

— To się nie o Śnieżce nazywa, a o Czarnobrewce.

— Kiedyś taki mądry, to sam opowiadaj.

Najgorzej opowiadać bajkę, jeśli ją zna ktoś jeszcze. Ty mówisz: „Smok miał dziewięć głów“, — a on: „nieprawda, bo dwanaście“.

— Nieprawda, bo dziewięć, bo tak pan opowiadał w Psarach...

Ty mówisz, że włożyli królownę do srebrnej skrzyni, a on: „a widzisz, że nie, bo do złotej. — Właśnie że do srebrnej, tylko ze złotem okuciem. Możesz ty słyssał inaczej“.

I niecierpliwią się już słuchacze:

— Jak znasz, to idź sobie i nie słuchaj.

Ale nie chce odejść, bo nie może przecie pozwolić, żeby bliźnich w błąd wprowadzano...

Najlepiej opowiadać zupełnie nową bajkę.

— Położyli królownę do trumny.

— Pewnie ze szczerego złota? — domyśla się który.

Jeśli mu się powie, że ze srebra, nie kłóci się, wierzy.

I płynie bajka po bajce,—o królownie, co wyszła za mąż za raka, o księdzu i o chłopie, o djabie, o zbójcach, o głupim, o kiju samobiju, o smoku.

Najciekawsze są bajki o smokach, a najładniejszą bajkę o smoku zna Kaza; opowiadała ją pani, która mieszka razem z rodzicami Kazy, — bajka ta w książce dwadzieścia kart miała. — Bo też to i smok: „słyszy na sto mil, a węch ma na tysiąc mil, a siłę ma taką, że mógłby świat rozrzucić, i nawet się tygrysa nie boi“.

— Ola Boga,—woła któryś, niby że się przeląkł.

— Idź, widzisz, jaki ty jesteś.

Bo Kaza może się obrazić, że kpią z jego bajki i nie chceć dalej opowiadać. — A mały kapitan Sulejewski mówi z westchnieniem:

— Ja jeszcze nigdy smoka nie widziałem...

Paluszek umie dwie bajki, o baranku, co jak mu się powie: baranku trząchnij się, — to będzie zaraz cały pokój pieniędzy, — i o żołnierzu i babie.

— Dziadu, jakie ty masz długie nogi, — mówi baba.

— Bom zrobił kawał drogi, — mówi dziad.

— Dziadu, jakie ty masz długie ręce.

— A bo byłem na wojence.

Takie umie bajki Paluszek, który równouprawnienia kobietom dać nie chciał...

Panowie znów, jak im się chce, ładne bajki opowiadają; a jak nie, to tylko tak, aby zbyć.

— Niech pan opowie, jaki pan niedobry; my się tak dobrze sprawujemy. Niech pan powie.

I już się zdaje, że przekonali pana, bo pan myśli, a tu nagle powiada:

— Opowiem wam straszną historję o Boćku-nudziarzu, który zawsze wiedział zgóry, co będzie na obiad, i o Tomku Galasie, któremu śmieci nakładli do zupy.

— Pewnego razu był Bociek, wielki ale to wielki...

— Pan pewnie powie: cymbał, — zgaduje już Boćkiewicz.

Wogóle panowie okazują bajkom niezasłużone lekceważenie. Naprzykład w najciekawszem miejscu trąbka wzywa na obiad, i chłopcy się spóźniają.

— Gdzieście byli? — krzyczy pan taki zły, że strach.

— Słuchaliśmy bajki.

— Obiad ważniejszy od bajek, — krzyczy pan. — Obiad jest bardzo ważny, — krzyczy pan. — Tak, zapewne, bajki są bardzo ważne, ale i obiad jest ważny — mówi pan. — Może bajki są ważniejsze od obiadu, ale nie można się przecież spóźnić na obiad, kończy pan.

No chyba, że bajki są ważniejsze.

**Fatalna sobota. — Brukiew — cham — szpieg.
I znów słońce zgody jaśnieje.**

Zebrały się chmury czarne. Fatalny był to dzień.

Rano przyszedł sąsiad kolonji, siwy Piotr Łój, i powiada, że chce się panom na chłopców poskarżyć.

Chłopcy mu coś ze dwadzieścia brukwi wyrwali z ogródka.

— Na pieniądze wielka szkoda to nie jest, ale niewiele on ma znów, żeby szkody ponosić. — Ziemia w paśniku licha, — pracy dużo. — Tego krzynkę się wsieje, owego krzynkę, — a jeszcze mróz zniszczy, słońce spali. — A cóż ma Piotr Łój? — Chałupinkę i stare kości, które więcej do ziemi należą, niż do świata. — Latoś żona mu umarła — taki teraz sierota, jak ta owieczka zabłąkana. — Chodzić i pilnować nie może, bo stary; — pójdę, myśli, — poproszę, żeby nie ruszali chłopcy, — może posłuchają?

Co on roboty w życiu wypracował z nieboszczką żoną. — Żona ośm lat chorowała, ale lekką śmierć miała. Siedział Piotr Łój sobie wieczorem, a żona: „Pietrze, Pietrze“ — powiada. — „Co chcesz, Franusiu“? — pyta się Piotr. — „Popraw mi nogi“ — powiada. — Poprawił nogi, poduszkę podłożył, — może lżej jej będzie? — I tak umarła... jak słowo...

— Kto rwał brukiew w paśniku Piotra Łoja?

— Ja, — odezwał się głos wśród ciszy.

— Kto jeszcze?

— I ja... i ja także...

— Nikt więcej?...

— Ja byłem tam, ale nie rwałem.

— Kto jeszcze był, ale nie rwał?

Wstało jeszcze czterech.

— Dlaczego pozwolili rwać brukiew?

— Bo brukiew nieogrodzona.

— Nieogrodzona? — Ach, bo Piotr Łój wam ufa — bo 70 lat wierzył ludziom, że uszanują jego własność. — Piotr Łój niema żelaznej kasy, ani kufra z ciężką pokrywą. — Piotr Łój sądzi, że najlepszym kluczem, najmocniejszym ogrodzeniem jest uczciwość ludzka. To smutne, że się zawiódł.

— Zapłacimy, — mówią chłopcy.

— Piotr Łój powiedział, że nie przyjmie zapłaty...

Stała się jednak rzecz jeszcze smutniejsza. — Może lepiej wcale nie mówić?...

— Co takiego? — zdziwili się chłopcy. Co może być gorszego? — co może być smutniejszego od wyrwanej brukwi?

Oto paru chłopców wyszło na łąkę do pastucha Wojciecha, — pokłócili się z Wojciechem i rzucili mu w gniewie obelżywy wyraz:

— Cham!

Nie koniec jeszcze. Gdy dozorca się dowiedział, że pastucha chamem nazwali, podejrzewając jednego z chłopców, że on o tem doniósł dozorczy, — rzucili mu w twarz straszny wyraz:

— Szpiegl!

Cham — szpieg...

— Czy wiecie, dzieci, że są wyrazy, które kaleczą jak nóż, — wyrazy, które trują, — wyrazy, które

niecą pożogę? — Czy wiecie dzieci, że mowa ludzka jest jak rzeka, z której tysiące wsi i setki miast pije, czerpiąc wyrazy, jak wodę? Mowę tę piją ludzie, drzewa, — lasy, pola chlebem obsiane. — Nie wolno tej wody czystej mącić, nie wolno w niej szerzyć zarazy; bo zboże wyschnie, drzewa pożółkną i wymrą ludzie.

Mowa ludzka jest jak las stary. Tysiące pięknych drzew i barwnych kwiatów. Ale tu i owdzie w cieniu, w błocie, koło zwałonego wichrem pnia, pod liśćmi suchymi — syczą w nim złe żmije, jadowite syczą węże. Niech leżą w cieniu, — niech nikt ich nie zaczepia.

Cham — to wyraz zły, okrutny, wyraz, który boi się słońca, nienawidzi światła. Ten wyraz trzeba głęboko zakopać i ciężkim kamieniem przywalić. Dziś niema już chamów — są ludzie...

Piotrowi wyrwaliście brukiew — on wam przebaczy; ale Wojciech wam nie przebaczy, boście mu świsnęli nad uchem tym przeklętym wyrazem — batogiem, o którym chce i ma prawo zapomnieć...

Chłopcy, jak mogliście nas tak krzywdzić? Jakże chcecie, żebyśmy wam ufali, kiedy wy nam nie ufacie? Więc dozorczy, sądzicie, — szpiegów wśród was mają? — Poco nam oni? — Czyż nie sami przed chwilą przyznali się ci, którzy brukiew rwali, — czyż nie przyznali się ci, którzy do kąpieli sami poszli, którzy domek Paulinki zniszczyli? — Tylko niesprawiedliwemu potrzebny szpieg, czy my byliśmy kiedy niesprawiedliwi dla was?

— Myśmy tylko tak w złości powiedzieli, — tłumaczą chłopcy.

Słuszne.

Gdy człowiekowi dobrze się dzieje na świecie, gdy zdrow, pracuje i za pracę otrzymuje zapłatę, która mu wystarczy na życie, gdy nikt go nie drażni, nie poniża, nie wyzyskuje, człowiek jest wesół i mówi pocziwie, — bez gniewu, bez przekleństw, bez przewisk. Gdy jednak zobaczy, że go krzywdzą, a on obronić się nie może, — bo słaby, bo skrępowany, wtedy w słusznym, a bezsilnym gniewie rzuci wyraz, którego potem może żałuje.

Bywa jednak inaczej. Bywa tak, że sam coś złego zrobiłem, i smutno mi, i sumienie mnie męczy. Coś, jak ból zęba, dokucza mi, niepokoi. Chciałbym zapomnieć, a nie mogę. Więc gniewam się i szukam kogoś, na kim mógłbym gniew swój wyrzeć. — I tak właśnie dziś było.

Wyrwaliście brukiew — to był pierwszy zły czyn. Niepokój was ogarnął. — Znieważyliście biednego pastucha — niepokój wasz wzrósł. Rzuciliście straszne, haniebne podejrzenie na kolegę i na nas, waszych dozorców. — To było zakończenie dzisiejszego smutnego dnia...

Wielka szkoda, że się tak stało, — wielka szkoda, że stało się tak akurat dziś, gdy my dozorczy mieliśmy do was prośbę, gdy chcieliśmy was powołać do pewnego wspólnego czynu dla dobra kolonji.

— Co to za prośba, co mieli zrobić? — Dlaczego pan nie chce powiedzieć?

— Bo i tak nic z tego nie będzie.

— Ależ zrobią wszystko chętnie.

Otóż bywa tak, że jest pożar, albo powódź, albo zaraza. Jedni uciekają sami od nieszczęścia, ratują własny tylko dobytek, myślą tylko o sobie.—Zawsze jednak znajdują się ochotnicy, którzy przez nikogo nie wzywani, sami rzucają się w płomień, by wyratować dziecko, znoszą wodę do pożaru, lub sypią tamy podczas powodzi, lub pielęgnują chorych.

— Pożar... powódź? — już zrywają się z miejsc i chcą biec na ratunek.

— Nie, nie powódź, ale coś takiego, co też wymaga ofiarnych ochotników.

Otóż stróż kolonji skarży się na nieporządki w ustępie. Chcieliśmy was prosić o kolejne dyżury. Gdyby czterech chłopców codziennie—od śniadania do obiadu i od obiadu do wieczora,—pilnowało porządku, byłoby to z dużym dla kolonji pożytkiem.

Z tym samym zapałem, z jakim chcieli przed chwilą biec do pożaru, zaczęli się teraz zapisywać na kolejne dyżury.

— Pamiętać należy, że czynność sama jest przykra, i że znajdują się głupcy, którzy z was śmiać się będą. Z góry o tem uprzedzić należy, by ci, którzy się zapisali, mogli się w porę wykreślić z listy.

Nikt się wykreślić nie chciał.

— Więc od jutra.

— Od jutra.

— I można liczyć na was?

— O, można!

Chłopcy i w tym przypadku nie zawiedli zaufania dozorców.

Tegoż dnia jeszcze uradzono, że jutro przeproszą Piotra Łoja i pastucha Wojciecha, gdy ci przyjdą na nabożeństwo niedzielne — i że dziś wieczorem na sali pan żadnej bajki nie powie, — nie by chłopców ukarać, ale że zmartwienie miał wielkie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Miłosna i Łysa Góra.

Wstęp.

Przystępuję do najtrudniejszego rozdziału w moich opowiadaniach: historii dwóch osad, ich powstania i rozwoju, zarządu i życia. Wiadomo, jak trudną jest zmundna praca historyka, który z legend, sprzecznych pogłosek, niezawsze dość wiarogodnych dokumentów, pragnie wyciosać gmach historycznej prawdy. — Jeśli więc tu i owdzie wkradnie się błąd, lub nieścisłość, jeśli wyznam szczerze, że czegoś nie wiem, proszę zgóry o przebaczenie.

I

Pierwszy na kolonji szałas.

W rozdziale o Indjanach zaznaczyłem z naciskiem, że wolni strzelcy mieszkali w jaskiniach, kopanych w ziemi, i tylko dachy zrobione były z gałęzi. Już dach jaskini Klimczaka tak był mocny, że deszczu nie przepuszczał, pieczara Stachlewskiego posiadała dwie cegły nawet, kopano piwnice dla zapasów i schowanka na siano dla koni, — nie były to jednak szałas, a legowiska raczej.

— Kto zbudował pierwszy w Wilhelmówce szałas?

Ja twierdzę, że Siedlicki i Dawidczyński, jakkolwiek są tacy, którzy Bartyzkowi przypisują to wiekopomne odkrycie.

Bartyzek widział na wsi płócienne namioty żołnierskie, przyszło mu na myśl, że płótno zastąpić mogą gałęzie, — i wnet z Pogłudem i Dąbrowskim wzięli się do budowy pierwszego na kolonji szałas.

Być może, że stało się to równocześnie, — na jedno proszę jednak zwrócić uwagę. Szałas Siedlickiego opierał się o drzewo, co znakomicie ułatwiało pracę, gdyż pień drzewa stanowił jedną ścianę szałas i służył za oparcie dla dwóch pozostałych. I przez cały dzień następny budowano szałas obok drzew. Później dopiero nauczono się łączyć u góry trzy skośnie wkopane w ziemię gałęzie, stanowiące korpus dwóch bocznych i tylnej ściany. I to ulepszenie bezsprzecznie doniosłe, zawdzięczać zdaniem mojem należy Bartyzkowi, który budowę swojego szałas wzorował na płóciennych żołnierskich namiotach.

Jeszcze jedno przytaczam na poparcie mojego twierdzenia. Siedlicki i Dawidczyński zbudowali swój szałas w ukryciu głęboko w lesie, — w mniemaniu, że szałasów budować nie wolno, a Bartyzek, Pogłud i Dąbrowski obrali plac pod budowę na górcie koło drogi, przez którą codziennie zśliśmy do kąpieli, a więc już jawnie, gdy ogłoszono odnośne pozwolenie.

Nie chcę podawać w wątpliwość dobrej woli przeciwników, — niech obalą moje dowody, a przytoczą własne. A sprawę uważam za tem ważniejszą, że stoję w obronie dwóch srodze przez los ściganych bezdomnych tułaczy. Piękny szałas Bartyzka istniał do końca sezonu, tam mieszkał burmistrz późniejszej osady Łysej Góry, tam była siedziba towarzystwa przyjaciół ksiązek i opieki nad samotnymi. A Siedlicki i Dawidczyński? O, jak często pełnem zawodów i cierpień jest życie tych, którzy nowe ludzkości torują drogi!

Kiedy odfotografowano szałas Siedlickiego, nie by był piękny, ale że—pierwszy, a więc z konieczności niedoskonały, kiedy wydano pozwolenie na budowę szałasów i obwarowano je licznymi ograniczeniami,—zbrakło Siedlickiemu i Dawidczyńskiemu cierpliwości do dalszych wysiłków i ulepszeń, część gałęzi darowali, zgubili, resztę im rozkradziono i do końca wiedli żywot tułaczy.

Gdy powstała później bogata osada Miłosna, wygnano z niej Siedlickiego za niespokojną, burzliwą jego naturę: Dawidczyński uwikłał się w brzydki proces o łamanie świeżych gałęzi, kilka razy przystępował do budowy coraz gdzieindziej i z kim innym, zawsze się w połowie roboty pokłócił, podobno już przed samym wyjazdem zapisał się do towarzystwa śpiewaczego i zyskał wstęp do szałasu „Lutni“.

W budowie szałasu Siedlickiego i Dawidczyńskiego brał udział podobno i Michałowski z grupy C. Pogłoska to niesprawdzona, postać to legendowa

może ktoś podjętą przezemnie pracę poprowadzi dalej i odnajdzie w archiwach materiały dostateczne do monografji o Michałowskim z grupy C; ja i tak uginam się pod brzemieniem, nad wyraz wszelki trudnego zadania.

II

Pozwolenie na budowanie szałasów.

Udało mi się odnaleźć dokument, potwierdzający pozwolenie na budowanie szałasów. Sądząc z jego treści, jest to jeden z późniejszych już statutów, ułożony wówczas, gdy sprawa budowania szałasów znaczne poczyniła postępy:

„Niniejszem wiadomem się czyni wszystkim mieszkańcom kolonji Wilhelmówki, że pozwala się na budowanie szałasów z obowiązkiem przestrzegania odnośnych przepisów i ograniczeń.

1. Wydzielone pod budowę grunty, piaszczyste, wzniesione, a więc dostatecznie suche, są następujące: górka pod dziką gruszą na miejscu byłej fortecy, i górka na lewo od drogi, która prowadzi przez las do kąpieli.

2. Szalasy nie mogą być budowane zbyt blisko drzew, aby przy kopaniu fundamentów nie niszczyć korzeni.

3. Szalasy budować wolno tylko z suchych gałęzi, znalezionych w lesie; każdy szałas w którym okazałyby się świeże gałęzie, zostanie raz na zawsze zniszczony, właściciele pociągnięci do surowej odpo-

wiedzialności sądowej, a wszystkie gałęzie zarówno suche jak świeże, zostaną skonfiskowane i oddane na cele publiczne.

4. Dla kontroli, gałęzie przeglądane będą na polance przy powrocie z każdej wycieczki do lasu; dla uniknięcia sporów zapisywane nazwiska właścicieli wszystkich większych i bardziej wartościowych sztuk, przeznaczonych pod budowę.

5. W razie gdyby po zbudowaniu wspólnego szałas, jeden ze współwłaścicieli pokłócił się i chciał wycofać się ze spółki, niema prawa żądać zburzenia gotowego już szałas dla otrzymania swoich gałęzi, ma natomiast prawo żądać, by dano mu gałęzie równej ilości i jakości po najbliższej wycieczce do lasu“.

Historykowi udało się wydobyć jeden arkusz z papierów komisji celnej, która jak wiadomo czynna była na granicy pomiędzy lasem i polanką, prowadzącą do Wilhelmówki:

„Dziś przez granicę przewieziono duży transport budulca:

Bednarscy bracia: dwie grube gałęzie, jeden gruby kij na rusztowanie i 15 mniejszych gałęzi.

Troszkiewicz: jedna duża rozłożysta gałąź na pokrycie szałas, 11 mniejszych, i pęczek suchych witek brzożowych do wiązania.

Jeliński: 14 gałęzi średniej wielkości.

Ulrich: chojak cały, suchy, średniej wielkości, trzy długie gałęzie bez liści, 5 mniejszych.

Skonfiskowano dwie świeże ociekające żywicą gałęzie, jednakże ich właściciela nie aresztowano,

bo przedstawił świadków, że gałęzie te znalazł w lesie, a nie zerwał. — Ponawia się zakaz nie tylko łamania, ale i zbierania świeżych gałęzi”.

III

Miłosna.

Krakus pokonał straszego smoka, — powstał Kraków.

War i Sawa zbudowali małą chatkę rybacką nad brzegiem rzeki, — dziś wznosi się wielkie miasto, Warszawa.

Uśmiecha się pobłaźliwie uczony historyk...

Kto w Wilhelmówce pierwszy na górze pod dziką gruszą osiadł i dał początek Miłośnię?

Odpowiadam szczerze: nie wiem. Trzy bowiem szałaszy walczyły o honor pierwszeństwa; dwa z nich zginęły bez śladu, jeden tylko pozostał, a i ten dwukrotnie był przebudowany i dwa razy zmienił właściciela.

Pamiętacie przedhistoryczne czasy górki pod gruszą, gdzie odbywały się dzikie boje, gdzie robiono nietrwałe domki z piasku i mosty zwodzone? Otóż, jak głosi podanie, pierwszy Kowalczyk, Chruścicki i Maliszewski obok domku z piasku zbudowali coś w rodzaju stałego szałas; jednakże napady ciągłe rychło ich zniechęciły, — oddali szałas Lokajskiemu, którego opanowała gorączka złota, i szałas wraz z gruntem sprzedał za cztery grosze chłopcu nieznanego nazwiska. Skąd chłopiec miał cztery grosze, kiedy pieniądze schowane są u panów? Podobno

znalazł je w lesie. Jakie były dalsze losy szałasu?— Nawet ślad jego zaginął, a wszystko okryte jest mgłą tajemnicy.

Inne podanie głosi, że Ulrich z Olsiewiczem, Cyganem i Kumą zaczęli budować pierwszy na górze szałas, potem połączyli się bracia Bednarscy, wnet się pokłócili i wycofali podarowane gałęzie; Cygan też zabrał jedną ważną gałąź na ster swojego okrętu; Kumę zaś dlatego nazywali Kumą, że przyjaźń jego była niestała i jak kumoszka, to tu, to tam zaprzyjaźnił się i zaraz pogniewał. Resztę gałęzi po nieszczęśliwym szałasie odziedziczył Zieliński. Jeśli więc upadek szałas Kowalczyka spowodowały brak wytrwałości i żądza złota, to szałas Ulricha zginął z powodu wewnętrznych niesnasek.

Trzecia pogłoska ma najwięcej cech prawdopodobieństwa, bo potwierdza ją piśmienny dokument: pamiętnik Troszkiewicza.

Kiedy po domkach z piasku pozostało na górze pustkowie, tylko widniały resztki fortecznych wałów i doły, skąd czerpano wilgotny piasek na budowę domków, — zaraz po odkryciu szałas Siedlickiego i Dawidczyńskiego w głębi lasu, — zjawił się na pustej górze Troszkiewicz i zaczął budować szałas, który pierwszego dnia mu się nie udał, bo ani wprawy ani gałęzi dość nie miał, a następnego już się udał.

Troszkiewiczowi pomagał Łęgowski, a podobno i Ulrich, podobno i Karaśkiewicz. — Ulrich szybko się odłączył i wstąpił do niefortunnej, jak wiadomo spółki z Cyganem i Kumą. Potem Troszkiewicz przeniósł się na Łysą Górę do szałas Bartyzka,

jako prezes drugiego tow. przyjaciół czytania; Karaśkiewicza spotykamy później u Pilawskiego na Łysej Górze, — a ten kto mimo wielu nieszczęść wierny pozostał i nazwany być może pierwszym stałym mieszkańcem Miłosny — jest bezsprzecznie Łęgowski.

IV

Szałas Jelińskiego.

Dziwne, trudne do wiary, a jednak prawdziwe. I Kowalczyk, który jeśli nie pierwszy nawet, to przecież był jednym z pierwszych, i Łęgowski, — obaj zubożeli doszczętnie: Kowalczyk został stróżem Miłosny, Łęgowski ogrodnikiem w szałasie, którego był właścicielem.

Najbogatszy, najpiękniejszy w Miłosnie — to szałas Jelińskiego.

Jeliński jest uczniem Bartyzka z Łysej Góry. Wogóle stara metoda opierania szałasu o drzewo rychło wyszła z użycia, i wszystkie następne budowane już były na wzór Bartyzkowego. Kopie się dół okrągły lub czworoboczny, niezbyt głęboki, wbija się skośnie trzy albo cztery grube gałęzie lub kije tak, by w górze schodziły się i opierały na sobie. Wierzchołki lepiej jest związać brzożowemi różgami, jeśli niema sznurka, bo mogą się zesunąć, i szałas się zwali. Taki jest szkielet szałasu. Teraz przestrzeń między kijami zarzuca się gałęzmi rozłożystemi, a wszystkie szpary zasypuje trawą, liśćmi, małemi gałązkami.

Jeliński kopał dół rękami, bo łopaty jakoś nie dostał. Niezawsze łopaty sprawiedliwie mogły być wydane, bo wydawał je pan, a pan co może tam wiedzieć? — Przy kopaniu pomagali niby to Królik, Mały i wścibski Cieniewski; ale Królik więcej przeszkadzał, Cieniewski więcej gadał niż robił, a Mały niewiele miał czasu, jako dyżurny warcab i fortec, a jeszcze bibliotekarz. — Jeliński dwa dni sam pracował, bo go porzucili koledzy, a kiedy szafas był już gotów, przyszedł znów Mały i za radą pastucha zaczął wiercić komin w szafasie.

— Daj spokój, bo zwalisz,—przestrzegał Jeliński.

Ale pastuch tak kusił, tyle pięknego obiecywał dymu, zobowiązał się nawet sam dostarczyć zapalek, — że Mały szedł dalej za jego zwodnemi radami.

— Pan nie pozwoli,—przestrzegał Jeliński.

— A przecież w statucie nic o kominach niema,—mówi Mały.

Mały liczy na to, że ma dużą u władz protekcję, bo już nie tylko pędzelki robi, ale i jodynuje teraz zadrapania, a wczoraj nawet ważny opatrunek na nodze robił po wyjęciu z pięty dużej igły sosnowej.—Może uda mu się uzyskać koncesję na budowę kominów w Wilhelmówce?—Wiktor Mały dużo piastuje urzędów, szybko awansuje, a powodzenie psuje przecież ludzi. Mały już się gorzej obchodzi z chorymi, niezawsze chce jodynować: „idź, z takim głupstwem przychodzi, jodynę tylko marnuje“,—powiada, gdy zadrapanie zbyt drobnem mu się zdaje. — Raz nawet wlaźł na barjerę łazienki w ką-

pieli i omal nie dostał dymisji, i tylko jedno go uratowało: że wzorową czystość utrzymywał w aptecznym pokoju i salce opatrunkowej.

Ale z kominem mu się nie udało: najgłówniejszy drażek wyleciał, szałas chwiać się zaczął i trzeba go było rozwalić. Jeliński uczciwie mu nawymyślał i wyrzucił z szałasu.

Czy miał słuszość Jeliński?

Do pewnego stopnia. Po pierwsze, na palenie ognia w szałasie pan nigdy by nie pozwolił; po drugie, jeśli nie budowałeś szałasu i nie znasz jego konstrukcji, nie bierz się do ulepszeń; jesteś felczerm — poco ci zduńska robota? — Z drugiej jednak strony, ulepszenia i nowe próby są potrzebne, a nawet konieczne, a każda próba połączona jest ze stratami i niebezpieczeństwem. Ileż to ofiar pochłonęły koleje żelazne, okręty, samochody, aeroplany? — Sam Jeliński zrobił w szałasie półeczkę na warcaby, piwniczkę na grzyby, — a czyż one nie mogły podważyć drażka i zniszczyć szałasu? — Gdyby nie ciągle ulepszenia i dążenie do coraz doskonalszej budowy, czyżbyśmy mieli schodki do szałasów, wały przy wejściach, ogródki obok szałasów, siadanki do opowiadania bajek?

Nieudana nawet próba uczy i przynosi pożytek. Kiedy Jeliński odbudował swój szałas, wejście zrobił teraz od północy, żeby tak słońce nie piekło, i rozszerzył je i przybrał tatarakiem.

Na miejsce Małego wziął Jeliński ogrodnika.

Chwilowo gościł w szałasie Iwanicki, ale Iwanicki chciał się przekonać czy mocny, zatrząsł sza-

asem i zasypał piaskiem puszysty dywan z trawy, którą wysłana jest miętko podłoga.

Jeliński pogniewał się z nim o to, a Iwanicki wstąpił do spółki z Chabińskim i doszedł do godności pomocnika burmistrza, kiedy już górka się zabudowała, otrzymała nazwę i zupełny samorząd.

W ten sposób Jeliński został sam tylko z ogrodnikiem Łęgowskim, że jednak samemu żyć smutno, więc poprosił do siebie Rozuma, z którym zna się z Warszawy i wie, że spokojnym będzie lokatorem.

Rano odświeżają dywan, zmieniają kwiaty w ogródku i tatarak nad wejściem, poprawiają wał koło szalasu, oczyszczają dróżkę ze śmieci; a to siadanko się rozsypie, a to dziura się zrobi w dachu. Pracy koło gospodarstwa jest dużo. — Tylko wieczory są wolne, — przychodzi Karas, zasiadają obok szalasu i bajki opowiadają albo tak sobie gawędzą.—I Karas spokojnym jest gościem.

Raz przyszedł Dajnowski i prosił, żeby go wzięli na miejsce Iwanickiego. Dajnowski ma scyzoryk, a dobrze mieć przecież lokatora ze scyzorykiem. Ale ten znowu śmiecił, bo ciągle łódki z kory wycinał, leniuch był, robić nic nie chciał, aż zwyciężyła w nim natura marynarza, rychło porzucił wygodny szałas, puścił się na burzliwe wody morza Pompowego, został admirałem i niepodzielnym jego właścicielem. Zamiast być przybłądą w obcym szałasie, został panem, i nikt już teraz nie zabroni mu śmiecić.

Szałas Jelińskiego stał się pałacem. Ogród oparKANJI, dróżki czysto musiały być wysypane pias-

kiem, a bogaczom już się pracować nie chciało. Cały dzień by tylko leżeli, jak książęta, na brzuchu i w warcaby grali.—A przytem bali się, teraz żeby im kto szkody nie zrobił, kiedy są poza domem, w palanta sobie grają. Więc zgodzili stróża — Kowalczyka.

Zbudowali Kowalczykowi lichy szałas, bo nie chcieli trzymać w swoim salonie patyków, służących za miotły, widły, młotki, grabie. Kowalczyk teraz musiał wszystko robić, bo ogrodnik tylko kwiaty zmieniał w ogrodzie.

Smutno musiało być Kowalczykowi: toć on z Chruścickim i Maliszewskim jeden z pierwszych tu się osiedlił; przyszli zdolniejsi i są teraz panami, a on słuchać ich musi. Osada się rozrosła, dużo szałasów przybyło, a więc i pracy coraz to więcej.

Aż zbuntował się, nabierał własnych gałęzi i przeniósł się na Łysą Górę, jako gospodarz i wolny obywatel.

V

Miłosna otrzymuje samorząd.

Dzika grusza na górcie, jak wiadomo, jest okrętem, nazywa się „Burza“, nieco na prawo od „Burzy“ mamy statek Ligaszewskiego „Błyskawicę“. — Sama górczka liczy już około pięćdziesięciu mieszkańców.— Zarząd nad ludną osadą coraz jest trudniejszy. — Wiemy już, jakie błędy popełniała władza centralna, wydając naprzykład łopate Kopce, a nie dając jej Jelińskiemu; toż samo dźać się mogło z warcabami,

książkami, młynkami. — Władza centralna dając samorząd morzu Pompowemu, pozbyła się kłopotu z kieratem; postanowiono teraz i osadzie dać zupełny samorząd. Szczęśliwa to była myśl.

Od tej chwili zaczął się wiarogodny, historyczny okres życia osady, która otrzymała stałą już nazwę „Miłosna“, gdy do tej pory zwała się to „Górka“, to „Braterstwem“, to „Burzową Górą“, od imienia okrętu.

— Proszę pana, chłopcy się biją o łopatę!

— Gdzie?

— Na górce.

— Na jakiej górce?

— Teraz mówi się: w Miłośnie, — i już wszystko wiadomo. Teraz już nikt się bić nie ośmieli, bo na miejcu stale jest burmistrz.

1. Burmistrz wyznacza miejsce pod budowę nowych szałasów, baczy aby korzeni nie podkopywano i aby nowe szałas nie zagradzały wejścia do już istniejących.

2. Burmistrz pilnuje, aby nie używano do budowy świeżych gałęzi, które drogą kontrabandy przedostać się mogą do osady.

3. Burmistrz przestrzega, aby po trąbce cała osada natychmiast się wyludniała.

4. Burmistrz codziennie zdaje sprawę władzy z życia osady.

5. Burmistrz wszystkie drobne sprawy rozstrzyga własną władzą, dla rozstrzygnięcia ważniejszych zwołuje zebrania gminne, które decydują większością głosów. — Prawo skargi na burmistrza przysługuje każdemu z obywateli.

6. Burmistrz otrzymuje łopaty, domina, loteryjki, warcaby, fortece i młynki dla całej osady i ma pieczę nad powierzonym mu inwentarzem.

Piękna była uroczystość wyborów. Jednogłośnie wybrano Chabińskiego, bo ma już lat dwanaście, jest spokojny ale rozumny, stanowczy i sprawiedliwy.

Wybrany drżącym głosem odczytał następującą rotę przysięgi:

„Dziękuję za zaufanie, postaram się być godnym jego. Daję wam słowo honoru, że łopaty i gry wydawać będę sprawiedliwie, nie powodując się ani przyjaźnią, ani nieprzyjaźnią, zarówno wszystkie sprawy decydować będę zgodnie z poczuciem sumienia. — Proszę i żądam zarazem, abyście stali się godni nadanego nam samorządu: nie wolno bić się, kłócić, gubić gałek od warcab, fortec, i loteryjek“.

Zapewne kiedyś w obszernej pracy historycznej ukazały się wszystkie sprawozdania burmistrza, tu jednak dla braku miejsca, poprzestać muszę na jednym tylko.

„Wczoraj wziąłem do pomocy Iwanickiego, żeby po trąbce odbierać łopaty. Lokajski jest pisarzem, zapisuje komu wydaje się gry, żeby nie pogubili. Potrzebne nam sześć łopat, dwa domina, cztery warcaby i dwie fortece. W młynek chłopcy nie chcą bardzo grać. — Szałas numer dziewiąty zawalił się w nocy, bo piasek pod nim jest suchy. — Dziś zaczniemy kopać plac pod zebrania gminne i całą osadę chcemy otoczyć wałem. — Młodszemu Bednarskiemu wyznaczyłem plac pod budowę. — Marszałkowski skończył już swój szałas. — Skazaliśmy

na banicję małego Frankowskiego i Zabuckiego, a Moskwikowi daliśmy ostrzeżenie. — Szałas Bartyzka na Łysej Górze ma chorągiewkę, więc ja proszą także o chorągiewkę, — gminiaci się na to zgadzają“.

Tu dodać muszę, że równocześnie z Miłosną otrzymała samorząd i druga osada, Łysa Góra, gdzie na burmistrza wybrano Prazmowskiego.

VI

Szpital w szałasie Nr. 4.

Szałas Nr. 5 był bardzo ludny, ale spokojny, — nie wadził nikomu. — Spotykamy tam Kowalskiego i Tokarskiego, cichego Dobilisa, leniwego ale również spokojnego Kuczyńskiego, Silczyńskiego, Świderskiego i najmłodszego z obywateli Miłosny, bo liczącego ośm lat niespełna, czarnego Michnowskiego,

Michnowski jest tak szczupły i drobny, że na ośm lat nawet nie wygląda, — najwyżej na sześć albo na siedem. A przytem za uchem ma wysypkę, która nie chce się goić i pewnie jeszcze długo będzie trwała.

Dobrze się działo w szałasie Nr. 5, dopóki nie przyjęto za lokatora Moskwika. Od chwili przyjęcia Moskwika, posypały się skargi na szałas, cieszący się do tej pory jak najlepszą opinią. To łopaty nie chcą oddać, to wał sąsiadowi uszkodzili, to po trąbce nie chcą opuścić Miłosny; a potem burmistrz będzie odpowiadał przed władzą.

Wzywa burmistrz gospodarza szałasu Nr. 5.

— Co u was się dzieje?

— A no, Moskwik.

Wezwano Moskwicka, a ten powiada, że wszystkim winien mały Michnowski, bo jest parszywy, ma za uchem zaraźliwą wysypkę i Moskwik nie może z nim mieszkać w jednym szałasie.

Jawna niedorzeczność: Moskwik nie chce oddać po trąbce łopaty i sypie piasek w oczy, bo mały Michnowski ma wysypkę za uchem. — Gdzież tu sens jaki?

— Łopata łopata, a piasek sypie, bo robi dezynfekcję, bo piasek to tak samo jak karbol.

Ponieważ Moskwickowi, jak wiemy ze sprawozdania burmistrza, już dano raz ostrzeżenie, więc wydano go teraz raz na zawsze z Miłosny; ale mały Michnowski rozplakał się i nie chciał już wrócić do szałasu. Boć każdy ma swoją ambicję.

Był akurat plac wolny po zburzonym szałasie Nr. 4, — zebrali się więc gminiacy, co bogatsi, każdy dał po parę zbywających gałęzi, a burmistrz, który zawsze starał się służyć wszystkim przykładem, sam zbudował mały szałasik dla najmłodszego obywatela Miłosny. A nie chcąc urazić ambitnego młodzieńca, że niby to z łaski dali mu przytułek, nazwano szałas Nr. 4— szpitalem. Bo szpital, to instytucja społeczna, a nie dobroczynna, gałęzie dane na szpital, to podatek, a nie ofiara.

Nadmienię dla ścisłości, że prócz Michnowskiego, znalazł tu opiekę Fredek Waligóra, gdy najadłszy się surowych grzybów, zaniemógł i dostał łyżkę ry-cyny.

VII

Pozostałe szalaśy.

Nie chcę nużyć czytelników, boć ostatecznie o każdym szalaśie możnaby całą książkę napisać, a jednak wszystkie są do siebie mniej więcej podobne.

Każdy szalaś ma odpowiedzialnego gospodarza, ma lokatorów stałych i przygodnych gości; zawsze ktoś się wkłęci, co kłopotu narobi, a potem trudno go się pozbyć; zawsze jeden bajki opowiada, jeden jest ogrodnikiem.

Powstają nowe szalaśy, inne giną bez śladu.

Osada w chwili najwyższego rozwoju liczyła czternaście szalaśów, przeszło 70 mieszkańców, cztery okręty, plac zebrzań — zaczęto robić wał i kopać sadzawkę, ale wykończyć już nie zdążono, bo powrót do Warszawy przeszkodził.

VIII

Towarzystwo przyjaciół czytania.

Na ławce obok krzyża, tego samego w lesie krzyża, który Prawe Serce i jego towarzysze przystrajali kwiatami, — zbierała się garstka chłopców dla wspólnych czytań.

Kiedy zaczęto budować szalaśy, zwrócili się z prośbą o pozwolenie — na zbudowanie szalaśu, nie na górcę, a nieco zdala, poza kolonją. Nie chcieli aby im przeszkadzano w czytaniu; na górcę było dla nich zbyt gwarно.

Władza niezbyt chętnie widziałaby szalaśy pojedyncze i oddalone; że jednak każde zapoczątkowa-

nie, mające na celu oświatę, władza w Wilhelmówce wita naogół życzliwie, — tym razem, w drodze wyjątku, udzieliła odnośnego pozwolenia.

Wybrali zaciszne miejsce, zaczęli kopać, — natrafili na korzenie; przenieśli gałęzie w inne miejsce, — toż samo. Dopiero nazajutrz szałas był gotów. — Zebrali się, czytali, — było dobrze. — Jakież jednak było ich zdumienie i gniew, gdy dnia następnego zastali swój szałas zburzony.

— Pewnie pastuchy popsuli?

Kto popsuł, jest to już rzeczą obojętną. — Jasnym jednak się stało, że jakkolwiek życie w gromadzie ma swe złe strony, jednakże daje rękojmię ładu i bezpieczeństwa.

Zwrócili się do burmistrza Miłosny, ten dał im najlepszy plac po zburzonym szałasie Marszałkowskiego. — Odrazu gruchnęła wieść po osadzie, że mieć będzie szałas związkowy, — i szałas Nr. 9 do końca sezonu zwano związkowym. — A przecież później dopiero, kiedy bajki już się wyczerpywać zaczęły i popyt na książki coraz szersze zataczał kręgi, — zalegalizowano ustawę Towarzystwa Przyjaciół Czytania tej treści:

Towarzystwo przyjaciół czytania.

USTAWA.

I. Cel towarzystwa.

1. Towarzystwo ma na celu zbieranie się dla wspólnego czytania i słuchania powiastek i wierszy

2. Zgodnie z powyższym celem, członkowie zbierają się po obiedzie we własnym szalasiu.

II. Skład towarzystwa.

3. Członkiem tow. może być każdy, na którego przyjęcie zgadzają się wszyscy, a jeden znajomy go poleci.

4. Jeżeli znajdzie się pięciu członków, towarzystwo zaczyna być czynne.

III. Zarząd towarzystwa.

5. Członkowie wybierają przez głosowanie prezesa i bibliotekarza.

6. Bibliotekarz bierze książki do czytania i ma nad nimi pieczę.

7. Prezes pilnuje, aby zbierano się o jednej godzinie.

8. Prezes wraz z bibliotekarzem wybierają niedługie opowiadania i wiersze do czytania.

9. Prezes za zgodą członków ma prawo przyjmowania i wydalania niespokojnych, spóźniających się i nieobecnych.

IV. Sprawozdanie.

10. Prezes codziennie, po pierwszym śniadaniu zdaje władzy sprawę z wczorajszego zebrania.

Kossowski został prezesem, Fabisiak bibliotekarzem (natychmiast doniósł o tem w liście do rodziców).

Szałas Nr. 9 ma bramę, coś w rodzaju kolejowego szlabanu, który opuszcza się podczas zebrań, aby nikt nie wchodził i nie przeszkadzał. Szałas jest tak

okazały, że prezes towarzystwa chciał nawet poprosić księdza o poświęcenie, gdy ksiądz przyjechał w niedzielę na nabożeństwo.

— Eee, jeszcze się ksiądz obrazi? — ktoś zaopowiadał.

— Dlaczego ma się obrazić? Przecież nie psy, a ludzie siedzą w szałasach, — bronił projektu swego prezes Kossowski.

Jednakże zwyciężyła opozycja...

Już w parę dni po założeniu towarzystwa, członek Troszkiewicz przeszedł na Łysą Górę i tam został prezesem drugiego tow. przyjaciół czytania...

Pamiętacie, jak majtkowie „Burzy“ stawali się rychło kapitanami własnych okrętów? — Tak zawsze dzieje się w życiu: wczorajszy uczeń jutro będzie nauczycielem, by wychowywać nowe zastępy kierowników.

IX

Szałas Bartyzka na Łysej Górze.

O szałasie Bartyzka na Łysej Górze dwa razy już wspominałem w mojej pracy historycznej: raz, gdy mowa była o Kopce-sierocie i towarzystwie opieki nad samotnymi; drugi raz, gdy rozważałem spór wynikły o to, kto na kolonji pierwszy wybudował szałas.

Bartyzek, jak Lech, jak Piast i Krakus, — jest postacią do pewnego stopnia legendową, a z Krakusem i to jeszcze ma wspólne, że ojcu-szewcowi pomaga w robocie.

Ojciec Bartyzka był na kolei spinaczem pociągów, spadł z maszyny, głowę sobie wstrząsnął i już pięć lat procesuje się z dyrekcją kolejową. Bo od tej pory ojciec Bartyzka ma szum i bóle głowy, czasem upadnie i leży, jak martwy; a doktorzy mówią, że tylko udaje, żeby wycygnąć od biednej kolei odszkodowanie. — Nie dlatego jednak powiadam, że Bartyzek jest postacią pół-legendową, a dlatego, że był czasu onego djabłem. — Djabłem? — Tak. — Bo Bartyzek chodził do ochrony na ulicę Freta, a kiedy urządzono szopkę, gdzie przedstawiano grzesznego króla Heroda, — Bartyzek był cały czarny, miał rogi i ogon i kusił króla Heroda, żeby duszę jego, wziąć po śmierci do piekła.

Może dlatego właśnie miejsce, gdzie osiedlił się Bartyzek, nazwano Łysą Górą, a może dlatego, że góra jest duża, a szałasów na niej niewiele?

Powiedziałem, że o każdym szałasie możnaby całą książkę napisać, a ten i ów sądził pewnie, że jest to czczą tylko przechwałką. — Nie, uczony historyk nie będzie się chwalił. Tu każda gałąź może być przedmiotem gruntownych studjów i stanowić osobny rozdział pracy.

Weźmy naprzykład gałąź lewej ściany szałasu Bartyzka. Znalazł ją Terlecki i przygotował sobie pod drzewem, tymczasem chłopiec z grupy A wziął ją, położył pod krzakiem; potem podarował Gajewskiemu, Gajewskiemu zabrał ją Maciaszek i chciał zamienić na grzyb. Jednakże poznał swą własność Terlecki, a dla uniknięcia sporów dał Ulrichowi. Ulrichowi, jak wiadomo popsuł się szałas, gałąź czas

jakiś była u Lokajskiego. Po wielu przygodach wróciła do Maciaszka, dana była do spółki Bartyzkowi i nie przyniosła mu szczęścia. — To tylko zgruba opowiedziana historia jednej gałęzi, a ile ich jest w każdym szałasie?

Bartyzek poznał się z Pogłudem podczas zbierania grzybów, a z Dąbrowskim, — bo jest Pogłuda parą. I we trójkę w dwa dni wzniesli szałas, a Suwiński pomógł go okopać.

Kiedy przybył Kopka i Kasprzycki i powstała myśl założenia towarzystwa opieki nad bezdomnymi, chcieli powiększyć szałas; ale mógł się nie udać więc obok zaczęli budować drugi, ze wspólnem podwórzem. — Wiele im przysporzyło to trosk, bo wśród bezdomnych iluż jest ludzi z burzliwą przeszłością i niespokojnym temperamentem.

Przyszedł Brzozowski, zaczął się bić, mocować, siadać na wale, — zepsuł ścianę, groził, że cały szałas zniszczy. — Przyszedł Trześniewski, głupie bajki opowiadał, a gdy nie chcieli go słuchać, zaczął na szałasie robić gniazdo bocianie i dach uszkodził. — Dał Maciaszek gałąź; i dar ten stał im się później kością w gardle; chcieli już oddać, choć mówi przysłowie, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera, — Maciaszek jednak nie chciał odebrać gałęzi i groził zburzeniem całej siedziby. — Znów kogoś przygarnęli, zaczął Kopkę krzywdzić, warjatem go przezywał. — Aż to, czem grożono im ciągle, stało się czynem: w czwartek, podczas pisania listów na werandzie, rozwalił ktoś oba szałas. — Nawet podczas wojny, jak wiadomo, oszczędzane są szpitale

i przytulki, — a tu nagle podczas pokoju, w biały dzień, — ach, jakie to bolesne.

Bartyzek nie upadł na duchu. Tylko małą duszę, nieszczęście przygnębia i osłabia, a silne hartuje i zagrzewa do pracy i walki. — Bartyzek, Poglud i Dąbrowski zakasali rękawy, i wnet stanął nowy szalas, jeszcze piękniejszy i większy.

Następny dzień zato był dniem wypoczynku i cichego zadowolenia.

Należało przypuszczać, że już teraz zawsze tak będzie, — niestety, jeszcze jedną ciężką próbę przeżyć im było sądzone.

Oto Kopka-sierota, chcąc się odwdzińczyć za przytułek i opiekę, umyślił zrobić im niespodziankę, w tajemnicy narwał świeżych gałęzi, przykrył od góry suchemi i ciągnie z lasu swą kontrabandę. Ale na granicy celnej koło polanki, odbywa się, jak wiadomo, rewizja.

Zaareztowano Kopkę.

— Dla kogo wiozłeś gałęzie?

— Dla Bartyzka, Pogluda i Dąbrowskiego.

Żelazny paragraf trzeci statutu głosi:

„Szalasy wolno budować tylko ze suchych gałęzi, znalezionych w lesie; każdy szalas, w którym okazałyby się świeże gałęzie, zostanie zniszczony“.

Wyraźnie powiedziano; „szalas w którym okazałyby się świeże gałęzie“, a Kopka wiozł je dopiero, w drodze został areszowany, w tajemnicy przed odpowiedzialnym właścicielem je zrywał; i przecież Kopka nie jest zupełnie mądry, bo dziesięć dni na głowę chorował, kiedy go kijem uderzono. — Gdy

doszło do sprawy, adwokat wdzięczne miał zadanie, o zburzeniu szałas mowy być nie mogło, i Kopkę nawet uniewinniono: toć chciał się biedak przysłużyć, odwdziżyć.

Ale Bartyzek, jak na eks-djabła przystało, porywczy był, — jak się mówi, — w gorącej wodzie kąpany.

— Kiedy ma być szałas zburzony, to go sami zepsujemy, bośmy go sami budowali i pracowali.

Dopiero później, jak niektórzy twierdzili, łzy miał w oczach, ale się nie przyznawał:

— Widziałeś, zem płakał? No to kłamiesz!

Sąd w porządku prawnym tegoż dnia jeszcze rozważał sprawę. I pomyślcie tylko: nawet świeże gałęzie oddano Bartyzkowi; bo statut mówi, że skonfiskowane gałęzie oddane być mają na cele publiczne; a czyż istnieje cel piękniejszy, jak opieka nad sierotami, samotnymi i bezdomnymi?

— Cóż, będziemy znowu budowali? — pyta Pogłud po sprawie.

— Już się nie opłaci — powiada Bartyzek.

— Gałęzie mamy, może nam się uda odrazu.

— Jak się odrazu uda to dobrze; ale już nie na tem miejscu budujemy.

Nic dziwnego, że zraził się do miejsca, gdzie mu się los srogi tak dał we znaki.

Przeniesiono gałęzie wyżej na górkę, gdzie więcej cienia i nie tak blisko drogi do kąpieli. Ale przyzwyczajenie, przywiązanie do ojczystego zagona, — znów ich w to samo skierowało miejsce. — Trzy godziny kopali we trzy łopaty, — znów zasypali dół, — wrócili na stary plac opuszczony.

— Wiesz co? Zrobimy teraz nie okrągły, a czworoboczny.

Jest to najtrudniejszy system budowy. — I nie szła robota. — Chcieli zrobić czworoboczny, a sam się jakoś wykierował na okrągły. — Zaczęto się z nich śmiać, — zwalili. — Drugi raz do dachu już doszli, — rusztowanie się obsunęło.

— Psia kość, — zaklął Bartyzek; ale już się w nim zaciętość odezwała.

Za trzecim razem wyszedł szalas na pokaz, — majstersztyk, — piękny jak Apollo, a mocny, jak Herkules.

— Tylko pamiętaj Kopka, nie rwij świeżych gałęzi.

A Kopka, czy się obraził, czy mu się wstyd zrobiło, — nie chce już być z nimi, — do Karpaczewskiego i Pilawskiego pójdzie.

— Nie chodź Kopka, — ostrzega Bartyzek, — zobaczysz, że będziesz żałował.

Bo szalas Korpaczewskiego nietęgą się cieszy opinią. — I w samej rzeczy, już nazajutrz wrócił Kopka do swoich.

Dla obrony, wzięli do szalasu Prażmowskiego, obrali go burmistrzem. — Troszkiewicz założył tu drugie tow. przyjaciół czytania; ale że się zaniedbywał, więc na prezesa wybrano Grudzińskiego. Przy był Wojdak, Siniawski, — gości zawsze pełno w szalasiu.

I tak już bez przygód, zgodnie i wesoło płynęło im życie aż do końca sezonu. — Na kiju obok szalasu suszyły się grzyby, które Pogłud zbierał dla Wikci, — tej samej Wikci, co to jak na nią mówią: „smarkatka“, nie gniewa się bo wie, że urośnie, ale jak mówią: „plotkarka“, to płacze, bo plotki robić wstyd wielki.

Dziewczynkom najlepiej podobał się szałas burmistrza z Łysej Góry z powiewającą na dachu choraągiewką, a jego wprawni budownicy niejeden szałas wzniesli dziewczynkom w Zofjówce.

X

Szałas, gdzie się ciągle wyrzucali.

Korpaczewski z dziesięć razy brał się do budowania szałasów. O lepsze z nim iść mogli tylko bracia Bednarscy, którzy bodaj czy nie najwięcej mieli gałęzi, nigdzie jednak miejsca nie zagrzali, do końca sezonu odbywali mozolne przeprowadzki i ostatecznie wiedli żywot cygański, koczowniczy.

Korpaczewski dwa razy próbował dostać się do Miłosny, ale mu tam było za ciasno, a może i za spokojnie; przeniósł się na Łysą Górę, osiedlił się na dzień jeden koło pniaka, potem na dzień koło brzozy, potem wprost burmistrza, potem na lewo od burmistrza, potem nieco wyżej na górcę, — wreszcie ukończył robotę, — siedzi, — dumny, — zadowolony.

(Korpaczewskiego zwą Etle-Metle, bo kiedy się pokłóci, tak prędko mówi i niewyraźnie, że go zrozumieć niesposób).

I czy Korpaczewski po ukończeniu szałasów chciał z niego wyrzucić Pilawskiego, czy Pilawski Korpaczewskiego, czy obudwu chciał wyrzucić Borkiewicz, czy oni Borkiewicz, czy wreszcie Przybylski wszystkich ich chciał powyrzucać, dociec jest niewypowiedziane trudno; dość, że zawsze w szałasie jest je-

den obrażony, jeden pokrzywdzony, jeden zagniewany srodze i jeden pobity.

Rozumiecie teraz, dlaczego Bartyzek nie radził Kopce iść do nich i dlaczego Kopka tak rychło wrócił do szałasu Bartyzka?

Miał też z nimi za swoje burmistrz Łysej Góry.

— Kto tu u was gospodarzem?

— Ja, powiada Olsiewicz.

— Więc nie Korpaczewski, Pilawski, Borkiewicz i Przybylski, tylko Olsiewicz?

— A no Olsiewicz. Tak nam się podoba. Tobie co do tego?

I teraz Olsiewicz wyrzuca Borkiewicza, Borkiewicz Pilawskiego, Pilawski Przybylskiego, Przybylski Korpaczewskiego, zawsze jest dwóch obrażonych, jeden pokrzywdzony i dwóch pobitych.

Borkiewicz pyta się poco Pilawski zaczyna z Korpaczewskim, a Pilawski ma pretensję, że Przybylski zaczepia Olsiewicza. Rozumieją, że trzeba kogoś z szałasów wyrzucić, bo inaczej nigdy spokoju nie będzie, nie wiedzą tylko, kogo wyrzucić, od kogo zacząć należy.

— Dlaczego łopat nie oddajecie po trąbce? — pyta ostro burmistrz Olsiewicza.

— A ja brałem od ciebie łopaty?

— Wszystko jedno kto brał. Brali do waszego szałasów, a ty odpowiadasz, boś gospodarz.

— Ja gospodarz? — dziwi się Olsiewicz. — Ani mi się nawet śni być gospodarzem.

Od dziesięciu minut, Olsiewicz przestał być gospodarzem, miejsce jego zajął Lobański.

Teraz Lobański wyrzuca Olsiewicza, Olsiewicz Borkiewicza, Borkiewicz Przybylskiego, Przybylski Pilawskiego, Pilawski Korpaczewskiego, a Korpaczewski wyrzuca Lobańskiego.

Jedno należy zapisać na dobro szłaśasu: każdego bez trudu przyjmą do siebie i chętnie gospodarzem go zrobią, — każdy dla nich dobry, — każdy im bratem. Choćby nowy lokator najgorszą miał opinię, choćby go wyrzucano uprzednio ze wszystkich szłaśasów, — oni go zapraszają: może tak będzie lepiej? — Bo ciągle myślą nad tem, jakby porządek wprowadzić, zawsze chcą kogoś wyrzucić, a tymczasem nowego przyjmują.

— Zobaczycie, Karaśkiewicz nauczy was rozumu.

Bo od czasu jak jest ich sześciu, dwóch stale jest obrażonych, dwóch pokrzywdzonych i dwóch pobitych; jednakże chcieliby żyć w zgodzie.

— Te, burmistrz, dawaj dwie łopaty!

— A ty co za jeden?

— Co ja za jeden? Karaśkiewicz, nowy gospodarz szłaśasu.

— A co robić będziecie?

— Schodki i piwniczkę na grzyby.

Biorą się do kopania.

— Tu zaczniemy kopać. — A nie, bo tu lepiej. — Ja ci mówię... Nic nie mów. — Daj łopatę. — A jakże. — Odejdź. — Puść. — Odejdź, powiadam ci. — Nie dam kopać, — To twój szłaśas? — A mój. — Twój? — Mój. — Puścisz łopatę czy nie?

I Karaśkiewicz zaczyna wyrzucać Lobańskiego, Lobański wyrzuca Olsiewicza, Olsiewicz Borkiewicza,

Borkiewicz Przybylskiego, Przybylski Pilawskiego
Pilawski Korpaczewskiego, a Korpaczewski Kara-
śkiewicza.

Pobili się, szalas rozwalili, gałęzie rozrzućili,
trzech było obrażonych, trzech pokrzywdzonych, a Pi-
lawski wrócił do Warszawy z podbitem okiem i po-
drapanym nosem.

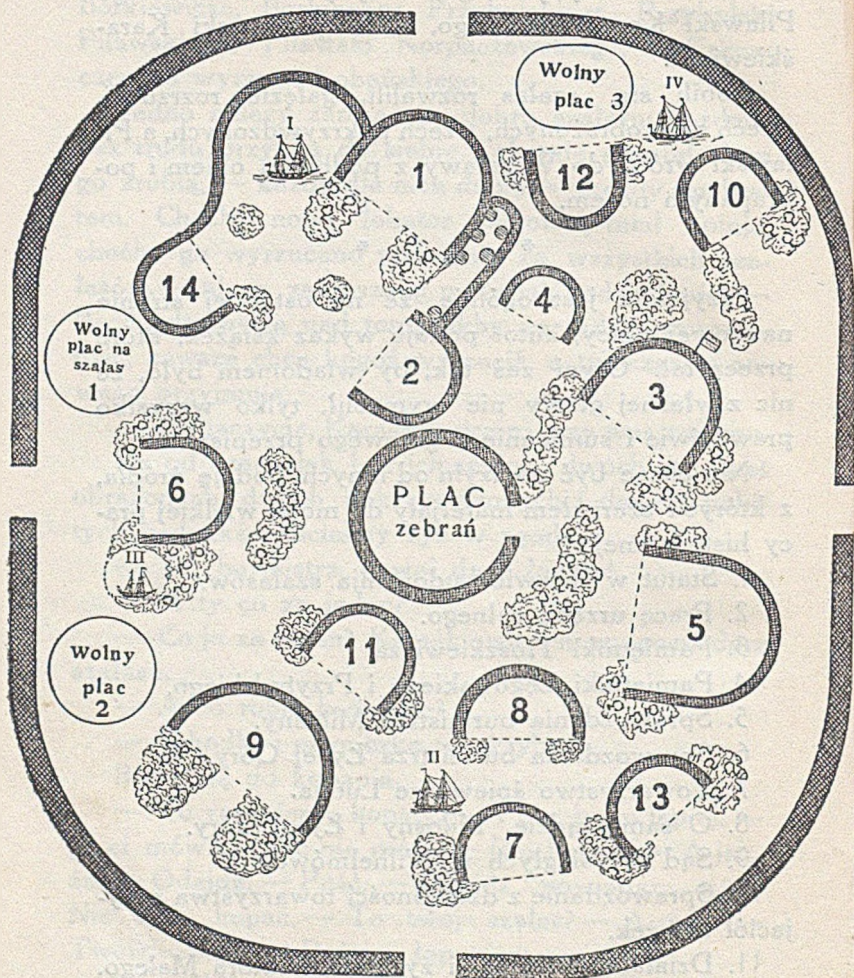
* * *

Przyjętem jest ogólnie, że na ostatniej stronie
naukowej pracy, autor podaje wykaz książek, które
przeczytał. Czyni zaś tak, by wiadomem było, że
nic z własnej głowy nie wymyślił, tylko wszystko
prawdziwie i sumiennie z gotowego przepisał.

Nie chcąc być gorszym od innych, podaję źródła,
z których czerpałem materiały do mojej wielkiej pra-
cy historycznej.

1. Statut w sprawie budowania szalasów.
2. Pracę urzędu celnego.
3. Pamiętniki Troszkiewicza.
4. Pamiętniki Łęgowskiego i Przybylskiego.
5. Sprawozdania burmistrza Miłosny.
6. Sprawozdania burmistrza Łysej Góry.
7. Towarzystwo śpiewacze Lutnia.
8. O samorządzie Miłosny i Łysej Góry.
9. Sąd przysięgłych w Wilhelmówce.
10. Sprawozdanie z działalności towarzystwa przy-
jaciół książek.
11. Działalność apteki i zyciorys Wiktora Małego.
12. Akta głównego sztabu marynarki na Morzu
Pompowem.

PLAN OSADY MIŁOSNY.



Cyfry arabskie — numery szalasów.

Cyfry rzymskie — numery okrętów.

Miejsca kreskowane — ogródki.

Osadę na planie otacza wał, który jednak dokończony nie został.

Szałas 1, otoczony wałem. (Ogródki, dwa klomby, siadanka do bąjek po prawej stronie. — Okręt Nr. 1).

Mieszkańcy:

1. Jeliński, 2. Łęgowski, 3. Rozum, 4. Karas, pt. Nr. 7, 5. Cieniewski (ubył), 6. Dajnowski (ubył) 7. Iwanicki pt. Nr. 3, 8. Tarasiuk, 9. Królik, 10. Omelańczyk.

Szałas 2, otoczony wspólnym wałem: wspólne podwórze z szałasem Jelińskiego.

1. Ligaszewski, 2. Mały, 3. Troškiewicz, 4. Kucharski, 5. Piechowicz, pt. Nr. 14.

Ligaszewski jest kapitanem okrętu „Błyskawica“ Nr. IV.

Szałas 3, z chorągiewką burmistrza.

1. Chabiński, burmistrz, 2. Lokajski, pisarz, 3. Iwanicki, pomocnik burm., 4. Dranek, 5. Trziński.

Szałas 4, szpital.

1. Michnowski

Szałas 5.

1. Kowalski, 2. Tokarski, 3. Silczyński, 4. Świdorski, 5. Dobilis, pt. Łysa góra, 6. Kuczyński, 7. Moskwa, usunięty.

Szałas 6 i okręt Nr. III.

1. Zieliński, 2. Wiśniewski, 3. Kowalski, z gr. B., 4. Koział, pt. Nr. 11, 5. Dałkiewicz, 6. Szkiela, pt. Nr. 10.

Szałas 7.

1. Kaza, 2. Banduła, 3. Maślanka, 4. Zabucki, wydalony, 5. Jagodziński.

Szałas 8 i okręt Nr. II. (Zbudowany na miejscu szałasów Ulricha).

1. Bień Czesław, 2. Bień Marjan, 3. Pecal, 4. Pawlak, 5. Wojciechowski.

Szałas 9, szałas Towarzystwa przyjaciół książek.

1. Kossowski, 2. Loba, 3. Badun, 4. Jaśkiewicz, 5. Nowakowski, 6. Galus, 7. Szyling, 8. Nałencz, 9. Troškiewicz, pt. Łysa Góra.

Szałas 10.

1. Waliszewski Zdzisław, 2. Szkiela, 3. Gajewski (młodszy).

Szałas 11.

1. Stowiński, 2. Augustowski, 3. Krzyżanowski, 4. Koział, 5. Kozłowski, pt. Nr. 13.

Szałas 12.

1. Barszczewski, 2. Skłodowski, 3. Górski.

Szałas 13.

1. Jagodziński, 2. Kozłowski, 3. Pakuła

Szałas 14.

1. Kowalczyk, 2. Piechowicz.

Razem: 14 szałasów — 4 okręty — 61 zameldowanych stałych mieszkańców z prawem głosu na zebraniach gminnych.

**Wesoła książka. — Zdziś lubi patrzeć na niebo.
Józio chciał uciec z kolonji.**

— Ach, wesoła książka, powiadacie.

— O nie, to smutna książka, dzieci.

Smutna książka, a wydaje się wesołą dlatego tylko, że wybrałem uśmiechy, głęboko ukryłem łzy.

Nie chcę, byście zbyt wcześnie myślały o łzach, na które dziś nic jeszcze poradzić nie możecie, Później kiedyś spotkamy się; powiem wam wówczas:

— Pamiętajcie, śmieliśmy się razem ochoczo; teraz czas przerwać zabawę, należy blaskiem dostojnej myśli opromienić czoła, — nie zawodzić żałośnie, że źle się Józkom i Joskom dzieje na świecie, — ale rękawy zakasać i jąć się pracy znoonej i świętej dla ich dobra, Ojczyzny, Przyszłości...

Nie zrozumieliście, nie szkodzi. Powróćmy do przerwanej opowieści.

Otóż wesoło jest chłopcom na wsi, ale jest ich niewiele w porównaniu z tymi, którzy nie wyjechali i nie wyjadą nigdy na kolonje, bo niema ich kto zapisać, bo muszą zarabiać w domu, bo towarzystwo z braku miejsc wysłania ich odmówi. A tym nielicznym, których na wieś wysłano, tylko cztery tygodnie jest dobrze. Cztery tygodnie miną, „jak ta rybka zwinna, szybka“ — mówi Łazarkiewicz, i zostanie tylko — wspomnienie.

Siostra Olka była na kolonji w Suchej raz jeden i dawno już, dawno. Ale i dziś po pracy wieczorem opowiada chętnie, jak bawiły się tam w królewne,

jak właściciel cegielni porobił im rurki z gliny i kiedy się dmuchało z jednej strony, z drugiej strony wytryskała fontanna. Dziś jeszcze śpiewa siostra Olka piosenki kolonijne podczas szycia. — I Olek pójdzie do roboty, więc już na wieś nie pojedzie, — i tylko przy pracy opowie czasem o swoim okręcie, szaląsie z ogródkiem i „dzwonią dzwonki“ zanuci...

Wiecie już, że nie wszystkim dzieciom jest jednakowo wesoło na kolonji, — niektórym nie podoba się ciągła bieganina, i zabawy, a hałas je nuży i męczy.

Zdziś Wasilewski nie lubi wrzawy. Zdziś woli książkę czytać lub patrzeć na niebo, na chmury. W chmurach się ładne obrazy układają. Ludzie chodzą sobie po niebie, okręty płyną, morze się bałwani, smok paszczę otwiera, to znów głowa starca albo Jasna Góra z wierzycą wysoką. — Zdziś chodzi sobie po lesie albo położy się na mchu i patrzy, jak się sosny czubkami kiwają.

Raz pan niesprawiedliwie go skrzyczał. Szli przez las parami, zatrzymali się koło mrowiska.

— Patrz, mrówka niesie jajeczko — kijkiem pokazał zdaleka.

A pan krzyknął:

— Czego psujesz mrowisko, urwisie?

I Zdziśkowi zaraz łzy w oczach stanęły, ale nic nie powiedział.

A ot, Józio chciał nawet uciec z kolonji do domu, bo mu się przykrzyło, a przytem Śliwka go nabuntował. Józio miał uciec pierwszy, a Śliwka spotka się z nim na dworcu i tak wszystko urządzi, że darmo do Warszawy dojadą. Śliwka umie bez biletu

podróżować. Raz miał go ojciec zabić, więc uciekł z domu, na stacji ukradł żydowi koszyk z truskawkami, w Kaliszu w cyrkule nocował; tam złodziej krętę wypiłował, uciekli razem i do Piotrkowa pojechali.

Zapewne część tylko mała była w tem prawdy; opowiadał zaś sądząc, że chłopcy słuchać i szanować go będą; ale opowiadanie nie znalazło uznania. Jeden tylko Józio zaufał mu i źle na tem wyszedł; bo wstyd mu było wracać, a jaka przykrość dla panów.

Biedny Józio, kiedy był mały, wsadził sobie groch w ucho. Pobiegła z nim matka do felczera, felczer dłubał — dłubał i jeszcze głębiej groch wepchnął do ucha. Poszła z nim matka do szpitala, ale już było za późno, a na drugi dzień była niedziela, i doktorów w szpitalu nie było, A tymczasem bębenek pekił w uchu, teraz źle słyszy, materja mu z ucha leci, i głowa go często boli.

Ojciec Józia wyjechał i osiem lat nie pisał, więc nie wiedzą gdzie jest i czy żyje, a Józio z mamą i siostrą papierosy robią do sklepu, ale często nie mają roboty, a przytem ukrywać się muszą. Bo gdyby się policja dowiedziała, że w domu papierosy robią do sklepu, toby wszyscy, on, mama i siostra poszli do więzienia, bo nie wolno w domu robić papierosów, bo na to trzeba mieć pozwolenie i podatek płacić.

O ucieczce Józia taką znajdujemy wzmiankę w pamiętniku jednego z kolonistów:

„Po obiedzie chłopiec, z którym grałem w palanta, był namówiony, żeby uciekł do Warszawy. I właśnie, jakeśmy wyszli na drogę do Zofjówki, on poszedł do sypialni i powiedział pani gospodyni,

że chce wziąć scyzoryk. Ale wszedł do szatni, zabrał ubranie i poszedł do szałas, żeby się przebrać. Zostawił w szałasie kolonijne ubranie i prosto na stację. Przeszedł po balu przez naszą łazienkę, ale noga mu się obsunęła i mało nie wpadł do wody. Potem położył się koło łubinu i czekał na tego chłopca. Pan myślał, że go głowa boli, ale inny chłopiec znalazł w szałasie jego ubranie i powiedział panu. Zaraz panowie poszli na stację, ale go nie było i znaleźli go koło łubinu. Taka jest historia chłopca, który chciał uciec..“

Pamiętacie o czym wieczorem sosny z niebem gwarzą? Że jeśli nie wszystkie dzieci są miłe i dobre, nie zawsze ich w tem wina.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wróżenie z ręki. — Dłoń małej Helenki wszystkie tajemnice zdradziła. — Jak Zosia gospodarowała.

— Prawda, że żaba przeklina? — pyta się Mania. — Jak kto patrzy na żabę i ma otwarte usta, to umrze?

— A mojej mamie raz kabalarka powiedziała, że się coś złego stanie, i dziesięć rubli z kufierka ukradli — mówi Zosia.

— A ja mam czarodziejską laseczkę, — oznajmia Stasiak, — jak komu dam nią w łeb, to mu zaraz guz wyskoczy.

Chłopcy nie wierzą ani w duchy, ani w strachy, ani w umarłych. A dziewczyny głupie gadają o czarach i potem boją się spać. Chłopcy nawet w kabalarki i wróżki nie wierzą, te też zdziwili się nie-

pomiernie, kiedy pan obiecał Helence wyczytać z ręki wszystkie tajemnice.

Pan patrzy, patrzy, patrzy na rękę Helenki, a wszyscy ciekawie czekają, czy zgadnie.

— Hm, Helenka talerz raz stłukła.

— Nie talerz, tylko podstawkę.

— A raz znów Helenka zjadła coś mamie, i mama bardzo się gniewała.

— Oj, naprawdę: skąd pan wszystko wie?

Mama kupiła śliwki na marynaty i Helenka dwie śliwki zjadła bez pozwolenia, ale były troszkę robaczywe.

— Tak jest, — potwierdza pan, pilnie patrząc na rękę — śliwki były troszkę robaczywe. — A raz znów Helenka spadła ze schodów.

— Rzeczywiście: poślizgnęła się i z dwóch schodów zleciała.

— Raz znów z dziewczynką się pokłóciła.

— A jak się ona nazywała?

— Imiona trudno z ręki wyczytać: chyba Mania się nazywała.

— A nie, bo Stasia...

— Helenka ma lalkę.

— A włosy ma lalka?

— Włosy? Owszem, ma lalka włosy, tylko coś jej brakuje.

— Prawda: ma włosy, ale noga się jej urwała.

— W zimie chwaliła się Helenka, że będzie u nich ładna choinka.

— Chwalić to się nie chwaliła, ale mówiła, że będzie choinka.

— I herbatę raz wylała.

— A tak, jak byli goście.

— Być bardzo może, bo na dłoni obok linji o wylanej herbacie jest dużo małych linijek, to pewnie są goście. Wszyscy chcą, żeby im wróżyć.

Zosi powiedział pan, że pracowita, że mamie pomaga w gospodarstwie, a Geni, że lubi się kłócić.

Dziewczynki patrzą na pana z szacunkiem i strachem, ale chłopcy nie wierzą jeszcze.

— Eee, pan tak tylko trajluje. No to niech pan mnie powie.

— Dobrze. Widzisz ten znak? — To znaczy, że byłeś z wizytą. A ta linja znaczy, że się biłeś z chłopakiem.

— Ooo, każdy był z wizytą i bił się z chłopakiem.

A niech pan powie, ile ja mam braci.

— Dwóch masz braci.

— Nieprawda, bo trzech.

— Ale jeden mały, to się nie liczy.

— Nie zgadł pan, bo wszyscy dorośli.

Teraz musiał się pan przyznać, że tylko trajlował, boć każdy choć raz pokłócił się, przewrócił, herbatę wylał, albo zbił podstawkę — i zgadnąć wcale nie sztuka.

— A skąd pan poznał, że lubię się kłócić?

— Bo masz rude włosy, Geniu. Niemądre dzieci dokuczają ci, ty im odpowiadasz, stąd kłótnie.

I opowiedział pan o kłótlwym Geszlu z Michałówki, o ludziach ładnych i głupich, jak stołowe nogi, o brzydkich i mądrych i wielkich.

— A skąd pan poznał, że jestem pracowita? — bada Zosia, której dziwno, że jednak tyle razy prawdę pan opowiedział.

— Ręce masz spracowane, skórę na dłoni twardą. Ze ktoś pracuje, można łatwo poznać; ale chyba nic więcej.

Zosia ogląda ręce:

— Tak, są spracowane, to prawda.

Kiedy mama była cztery miesiące chora, Zosia wszystko sama robiła: sprzątała, gotowała, prała bieliznę. Roboty dużo, bo ma troje malców rodzeństwa.

Szkoda, że nie było akurat Paluszka, który nie chciał dać równouprawnienia kobietom. Niechby posłuchał, jak Zosia gospodarowała, dzieci myła, łóżka słała, obiad przyrządzała i sama ojcu nosiła — jak małego Edka wyleczyła z wysypki.

Edkowi zrobił się liszaj na twarzy. Zosia smarowała liszaj śmietanką, bo tak jej poradziły kobiety, ale śmietanka nie pomogła, i liszaj zrobił się jeszcze większy. W sklepiku znów powiedziano, żeby palić papier, a jak się na papierze robi takie żółte, tem właśnie trzeba smarować; ale i żółte z papieru także nie pomogło. Poszła Zosia z Edkiem do szpitala, a doktor nie chciał z nią mówić, kazał, żeby przyszedł ktoś starszy. Wtedy Zosia się rozplakała, bo mama chora, a tatuś w zajęciu, i doktor powiedział co ma robić z liszajem i tak Edka wykurowała.

Chłopcy w ciszy, z uwagą wysłuchali opowiadania Zochy, a mała Helenka głęboko westchnęła:

— Chłopcy tam dużo wią — powiedziała.

Miało to znaczyć, że chłopcom tylko palant w głowie, że się na gospodarstwie nie znają wcale.

**Rozmowy o Warszawie. — Wymiana podarków.
Ostatni ranek.**

— Ja byłem w Psarach w zeszłym roku.

— Ja w Pobożu.

— A ja w Ciechocinku.

I opowiada się o Psarach i o Pobożu i porównywa z niemi Wilhelmówkę: gdzie ładniej, weselej, gdzie panowie lepsi?

— W Ciechocinku nudno, bo niema lasu i niema gdzie biegać. A jak raz chłopcy zrobili dziurę pod parkanem i wyszli na drogę, to były aż cztery dwójki ze sprawowania.

W Psarach przyjemnie, bo był mały źrebaczek, który na werandę przychodził, i chłopcy chleb mu dawali. — A raz się dwa stogi siana zapaliły, taka łuna była, ale pan nie chciał z nimi iść do pożaru. Raz znów fura z węglem przyjechała, zaczęli się wozić i pchnęli furę na parkan, mało parkanu nie rozwalili. — To znów chłopak poszedł do pralni i piłkę wsadził w wyżymaczkę i pękła. — A dyżurny taki był zły: piłki tylko dawał, jak był z kim dobrze, a na jednego, żeby nie wiem co, nigdy nie poskarżył, bo znał go z Warszawy. — Lepiej jak dyżurny jest co tydzień inny i jak pan sam zabawki i książki wydaje.

I tu jak w Michałówce, przez ostatnie dni mówi się o kolonji, jak o czemś, co było — i dużo o domu, szkole, warszawskich zabawach i rozrywkach.

Franek ma psa Azora, nauczyciel za byle co targa za uszy, w pudełku z gilzami zawsze jest ja-

kiś prezent, a magik w kapeluszu jajecznicę ugotował i pokrajał chustkę do nosa i zrosła się jak dmuchnął.

Raz chłopcy na Woli proszku pod tramwaj nasypali i tak huknęło, że ola Boga; a na Bródnie wykopali dół i zakopali chłopaka, tylko mu głowa sterczała — i krzyż postawili nad nim. Kazik bawi się często w chowanekę, bo piwnica w ich domu ma ze sto zakrętów, a Wacek ma taką kupę braci i sióstr, że co miesiąc to inne imieniny.

A jak w cyrku mała małą w wózku wozila, a znów druga mała po drucie z zawiązanymi oczami chodziła, a słoń siedział przy stole i przynosił mu jeść i dzwonił na lokaja.

Taką miał długą trąbę, okręcił ją koło człowieka i dopiero sobie z nim chodził.

Strasznie drogi musi być taki słoń, a chłopaki mówią, że guma do wycierania ołówka, co na niej jest słoń narysowany, to ze skóry słonia zrobiona. Gdzieżby znów, za cztery grosze?

— Prawda, że skóra droższa od kości słoniowej?

Jeśli się mówi o Warszawie, jakże nie opowiedzieć, za co kto w skórę dostał od ojca lub matki?

Józik dostał baty, bo zamiast dziecko kołysać, przez okno z parteru skikał; Wiktor zbił nowy klosz, bo chciał zobaczyć czy ciężki; Władek na rachunku ojca podpisał swoje nazwisko i cały rachunek pomażał. — Bociek na lampki się zagapił na Marszałkowskiej ulicy, a w domu myśleli, że zginął; Broniek chciał strącić z daszka tasiemkę i siostrę trafił kamieniem, a jednemu znów ubranie całe w kąpieli ukradli, i kolega mu tylko koszulę pożyczył.

— Jak mnie matka w koszuli zobaczyła, to ci było dopiero...

A dzień wyjazdu z kolonji się zbliża. Dziewczynki wyjeżdżają już jutro.

Zapomniane dawne urazy; już teraz ani domki i meble z piasku, ani szafasy niepotrzebne.

Dziewczynki dają chłopcom splecione z sitowia koszyczki, trzepaczki, kapelusze — na prezent dla sióstr w domu, a chłopcy dają dziewczynkom wycięte z kory łódki, solniczki, młotki, serduszka, krzyżyki. Dziewczynki już w swoich ubraniach, chłopcy jutro będą się ważyli, pojutrze się dopiero przebiorą.

— Jeszcze trzy dni zostało.

— Nieprawda, bo dwa tylko.

— A trzy; dzisiejszy dzień się liczy, bośmy obiadu jeszcze nie jedli.

I znów:

— Ostatnia wycieczka do lasu, ostatnia jajecznicca, ostatnia kąpiel, ostatnia partja palanta.

Każdy myśli o jakimś prezencie dla swoich — więc kilka grzybów, szyszek zielonych, korale z czeremchy, kwiat dziewanny; nawet biedny Dziadyga wiezie upominek: sześć ulęgałek zielonych, znalezionych w lesie. Wraca Geniek Dziadyga do swej suteryny, gdzie trzeba na noc łóżka na środek izby wysuwać bo ze ścian wilgoć się leje.

Aż nadszedł ranek wyjazdu.

Ledwo świt szary, jeszcze w welonie mgły białej las tonie, jeszcze przed chłodem porannym tuli matka w gnieździe pisklęta. Na salach gwar, bo niezadługo śniadanie i droga powrotna do domu.

Ostatnia trąbka wzywa na werandę. Mała jeno garść chłopców zebrała się przed ołtarzem, bo reszta jeszcze na salach się pakuje, bacząc, by nie zapomnieć czego: grzebienia, szyszek, szczoteczki do zębów. — Już podczas modlitwy cicho na palcach zbliżają się z przewieszonymi przez ramię woreczkami — przyklękają, i coraz ich więcej, małych pielgrzymów.

Aż zebrali się wszyscy, i kiedy po modlitwie rozległ się śpiew, sto pięćdziesiąt głosów popłynęło w stronę szarego nieba:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki...

Zajechały ciche wozy pieśnią zgłuszone.
Śniadanie szybkie, niegwarne, i siadają.

Oto mały Józik Przybylski, kuc rączy, oto Pogromca Tygrysów, Frajer Pompka z bratem, Olek Ligaszewski który nie dokończył sadzawki przy szalacie; dzielny kapitan Sulejewski, taki teraz drobny i szary; układny prezes Grudziński i Zdzisiek, co na czubki zielone lubi patrzeć, i Zabucki, co miał trzy razy dostać po łapach, i kronikarz Troszkiewicz.

— Wszyscy już mają miejsca?

— Wszyscy.

— Wozy wysuwają się z lasu na szosę. A w Warszawie nowych stu pięćdziesięciu chłopców cieszy się i dnie liczy:

— Za trzy dni na wieś wyjadę, za dwa dni, jutro.

K O N I E C .



T R E Ś Ć :

	Str
Bardzo krótki wstęp	5
<i>Rozdział pierwszy:</i> Podróż. — Nudne opowiadanie, którego nie warto słuchać. — Ot, jutro będzie wesoło	7
<i>Rozdział drugi:</i> Minister w niebieskiej koszuli. — Już znają Boćka. — Kosieradzki dostał skąpą bluzę, a Zaremba dał dęba	12
<i>Rozdział trzeci:</i> Nieudana próba. — Pan zatrąbił. — Pamiętnik chłopca i podpis z zakrętasem	17
<i>Rozdział czwarty:</i> Duże troski małych dzieci. — Wacek już nie mówi „szczeniaku“. — Święte łyzy i towarzystwo opieki nad samotnymi	23
<i>Rozdział piąty:</i> Przedhistoryczne czasy górki pod dziką gruszą. — Niezawodny przepis na budowanie domków z piasku. — Narodziny, rozwój, zagłada	28
<i>Rozdział szósty:</i> Do Zofjówki. — Pierwsze spotkanie. — Zwierzzenia Wikci. — Wielkie tajemnice	34
<i>Rozdział siódmy:</i> Sprawa o gniazdo, o żabę, o kąpiel. — Daj nos, Dajnowski	39
<i>Rozdział ósmy:</i> Okręt „Burza“. — Statek „Błyskawica“ i dostojny pasażer. — Budowa „Nadziei“	45
<i>Rozdział dziewiąty:</i> Morze Pompowe koło studni. — Admiraliowie floty morza Pompowego. — Kolej patykowa i skorpupa od jajka	50
<i>Rozdział dziesiąty:</i> Historia trzech łóżek. — Wyklęte duchy kolonji. — A jednak się poprawili	54
<i>Rozdział jedenasty:</i> Modlitwa lasu. — Wieś ma serce. — Chłopiec, który najpóźniej się poprawił	59
<i>Rozdział dwunasty:</i> Kąpiel. — Pływanie po żabsku i po piasku. — O gramatycznym Łazarkiewiczu	63
<i>Rozdział trzynasty:</i> Zabawa, godna pogardy. — Wolni strzelce. — Osada myśliwska. — Wodociąg indyjski	67

<i>Rozdział czternasty:</i> Poziomki są mniej ciekawe od grzybów. — Mania Kropieleczka i czar z fartuchem. — Duże mrowisko pod grubym drzewem	71
<i>Rozdział piętnasty:</i> Straszna przygoda Ciamary, którego oczarował Kowalski. — Paluszek prorokiem. — Trzy grzybki i czy się Ciamara poprawił	78
<i>Rozdział szesnasty:</i> Śpiewy. — Wielkie przeszkody przy śpiewach. — Legenda o pieśni	84
<i>Rozdział siedemnasty:</i> Obiad. — Sposób na to, by zostać hrabią. — Kłopoty dyżurnych. — Dwie muchy w zupie	89
<i>Rozdział osiemnasty:</i> Sprawa o domek Paulinki. — Pobór do wojska. — Pułkownik Suchta. — Wojna	92
<i>Rozdział dziewiętnasty:</i> Listy. — Kochani rodzice, czego i wam życzę. — Pan nie umie listów pisać. — Echo domu	101
<i>Rozdział dwudziesty:</i> Na polance. — Palant, wąż i warcaby. — Bajki o Smoku	105
<i>Rozdział dwudziesty pierwszy:</i> Fatalna sobota. — Brukiew. — Cham. — Szpieg. — I znów słońce zgody jaśnieje	112
<i>Rozdział dwudziesty drugi:</i> Miłosna i Łysa Góra	117
Wstęp	117
I. Pierwszy na kolonji szałas	117
II. Pozwolenie na budowanie szałasów	120
III. Miłosna	122
IV. Szałas Jelińskiego	124
V. Miłosna otrzymuje samorząd	128
VI. Szpital w szałasie Nr. 4	131
VII. Pozostałe szałasy	133
VIII. Towarzystwo przyjaciół czytania	133
IX. Szałas Bartyzka na Łysej Górze	136
X. Szałas, gdzie się ciągle wyrzucali	142
<i>Rozdział dwudziesty trzeci:</i> Wesoła książka. — Zdziś lubi patrzeć na niebo. — Józio chciał uciec z kolonji	146
<i>Rozdział dwudziesty czwarty:</i> Wróżenie z ręki. — Dłoń małej Helenki wszystkie tajemnice zdradziła. — Jak Zosia gospodarowała	149
<i>Rozdział dwudziesty piąty:</i> Rozmowa o Warszawie. — Wymiana podarków. — Ostatni ranek	155

KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

	Zł gr
ANDERSEN H. C. <i>Baśnie</i> . Przekł. Al. Szczęsnego. Ilustr. E. Dulac'a.	opr. 40.—
— <i>Królowa śniegu</i> . Przekł. A. Szczęsnego. Ilustr. E. Dulac'a.	opr. 15.—
— <i>Najpiękniejsze baśnie</i> . Pełny przekład pod redakcją J. Mortkowiczowej. Ilustr. Kay Nielsena. cz. I. opr.	25.—
— <i>Najpiękniejsze baśnie</i> . Pełny przekład pod redakcją J. Mortkowiczowej. Ilustr. Kay Nielsena. cz. II. opr.	25.—
	cz. I i II razem .—
— <i>Ogród rajski. Słownik. Szaty królewskie</i> . Przekł. Al. Szczęsnego. Ilustr. E. Dulac'a.	opr. 15.—
— <i>Opowiadanie wiatru. Syrena</i> . Przekł. Al. Szczęsnego. Ilustr. E. Dulac'a.	opr. 15.—
BEZMASKI H. <i>Wspomnienia dzieciństwa</i>	2.—, kart. 3.— opr. 4.—
BIM, BAM, BUM. <i>Parawanik dla dzieci</i>	1.20
BOBIŃSKA H. <i>O szczęśliwym chłopcu</i> . Wydanie trzecie.	
— <i>Stach sobie-pan</i> . Historia prawdziwa ilustrowana. kart.	4.—
— <i>Tajemnica Romka</i>—
CANDÈZE E. <i>Przygody świerszcza</i> . Powieść. Przekład dr. W. Haberkantówny. 3 części po 1.—, kart. po	1.50
	razem opr. 6.—
CHOROMAŃSKI L. <i>Dziwne przygody</i> . Bajki dla małych dzieci. Ilustr. P. Ostrowskiego.	kart. 3.50
DĄBROWSKA M. <i>Dzieci ojczyzny</i> . Opow. historyczne. kart.	4.—
— <i>Marcin Kozera</i> . Opowiadania. Wydanie drugie.	2.— kart. 3.—
— <i>Przyjaźń</i> . Opowiadania.	1.—, kart. 1.50
— <i>Uśmiech dzieciństwa</i> . Wspomnienia.	1.60, opr. 4.50
DICKENS K. <i>David Copperfield</i> . Powieść. Przekł. Kar. Beyl 6 tomów po 2.—, kart. po	2.50
	Całość w 2 tomach opr. 18.—
DYBCZYŃSKI T. <i>Wpoprzek Sybiru</i> . Powieść podróżnicza 5 części po 1.—, razem w kart.	6.50
	razem opr. 8.—

	Złoty
ERNST O. <i>Historja młodego życia</i> . Książka dla dorosłych i dla młodzieży. Przekł. J. Mortkowiczowej	2.— kart. 3.50
GAŚSIOROWSKA N. <i>Księżę Józef</i> . Zarys historyczny. kart.	2.50
GEIJERSTAM G. <i>Moi chłopcy</i> . Opowiadanie. Przekład J. Mortkowiczowej. Ilustr. Z. Eichlera.	kart. 3.50
GRZELAK WŁ. <u><i>Łódźka z blegiem Wisły</i></u> . Wydanie drugie zmienione i uzupełnione.	
— <i>Na wodach Narwi i Pilicy</i> . Wędrowki wioślarskie. Z 4 ilustracjami.	3.—, kart. 4.50
HERTZ B. <i>Henryś</i> . Powieść. 2 cz. po 1.—, kart. po	1.50 razem kart. 4.—
— <i>Przygody Magdusi</i> . Ilustr. M. Wertensteinówny kart.	5.—
ILJIN. <u><i>Sto tysięcy pytań</i></u> . Tłum. Zofja Warszawska.	
IŁŁAKOWICZ I. K. <i>Rymy dziecące</i> . Okładka i ilustracje Z Stryjeńskiej.	kart. 4.—
— <i>Jak to na wsi bywa</i>	1.60
KORCZAK J. <u><i>Bankructwo małego Dżeka</i></u> . Wydanie drugie.	
— <i>Feralny tydzień</i> . Opowiadania.	1.—, kart. 1.50
— <u><i>Józki, Jaśki i Franki</i></u> . Wydanie nowe.	
— <i>Król Maciuś pierwszy</i> . Powieść.	3.60, opr. 6.—
— <i>Król Maciuś na wyspie bezładnej</i> . Powieść. 3.60, opr.	6.—
— <i>Mośki, Joski i Srule</i> . Ilustr. S. Lipszycowej.	kart. 3.50
— <i>Stawa</i> . Opowieść. Okładka i ilustr. J. Toma.	kart. 3.—
— <u><i>Prawidła życia</i></u> . Pedagogika dla młodzieży i dorosłych.	
LAGERLÖF S. <i>Cudowna podróż</i> . Powieść. Przekł. J. Mortkowiczowej.	opr. 15.—
— <i>Wspomnienia</i> . Wybór i przekł. J. Mortkowiczowej	2.— kart. 3.50
LAZARUSÓWNA F. <i>Moja gromadka</i> . Opowiadania. Ilustr. M. Gawętkiewicz-Chybińskiej	2.—
— <i>Złoty pokoił</i> . Opowiadania.	kart. 2.—
LIMANOWSKI B. <i>Hugo Kollątaj</i> . Życiorys. (Plutarch polski).	kart. 3.—
— <i>Tadeusz Kościuszko</i> . Życiorys. (Plutarch polski) kart.	3.—
— <i>Walerjan Łukasiński</i> . Życiorys. (Plutarch polski) kart.	3.—
— <i>Stanisław Staszic</i> . Życiorys. (Plutarch polski) kart.	3.—
— <i>Romuald Traugutt</i> . Życiorys. (Plutarch polski) kart.	3.—

	Zł gr.
LUBICIE DZIECI BAJKI O KWIATACH. Parawanik dla dzieci.	1.20
MARKOWSKA M. <i>Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę... 1797 — 1815.</i> Powieść historyczna kart.	3.—
MOLNAR F. <i>Chłopcy z placu broni.</i> Powieść z życia uczniów węgierskich. Przekł. J. Mortkowiczowej. Wyd. nowe	
MORTKOWICZOWA J. <i>Anulka, czyli osiem lat życia dziewczynki.</i> Książka dla dzieci i dla rodziców. Ilustrowana rysunkami dziecka. 5.—, kart.	6.—
— <i>Z naszej szkoły W mieście.</i> kart.	8.—
MORTKOWICZÓWNA H. <i>Dzień Jędrusia.</i> Ilustracje autorki	1.50
— <i>Dzień Krysti.</i> Ilustracje autorki.	1.20
NESBIT E. <i>Poszukiwacze skarbu.</i> Powieść kart.	4.—
— <i>Przygody młodych Bastablów.</i> Powieść. 2 cz. po kart. po 1.50, razem opr.	1.— 5.—
O JANKU MARYNARZU. Książka z obrazkami.	4.20
ORSZA H. <i>Na ziemi polskiej przed wielu laty.</i> Czytanki historyczne. Ilustracje J. Ostrowskiego. kart.	3.50
RADOSNY DZIEŃ. Książka z obrazkami dla małych dzieci	2.—
ROGOSZ-COLONNA-WALEWSKA J. <i>Mały gospodarz.</i> kart.	2.—
ROGOSZÓWNA Z. <i>Kolorowe bajeczki.</i> Okładka i ilustracje podług wycinanek H. Józewskiej	5.—
— <i>Pisklęta.</i> Opowiadania 1.60, opr.	4.50
SELMER AGOT GJEMS. <i>Nad dalekim cichym fjordem.</i> Powieść. Przekł. J. Mortkowiczowej. 2 cz. po 1.—, kart. po	1.50
razem opr.	5.—
SIEDLECKI M. <i>Głębiny</i> Wydanie nowe.	
SŁOWACKI J. <i>Wybór utworów dla młodzieży.</i> 1.—, kart.	1.50
SZARZYŃSKI J. E. <i>W Karpatach.</i> Powieść kart.	3.50
SZCZĘSNY A. <i>Pieśń białego domu.</i> kart.	3.50
SZELBURG E. <i>Bracia miasteczka.</i> Wierszyki dla małych dzieci. Ilustr. H. Mortkowiczówny	4.—
— <i>Rentne wierszyki.</i> Dla małych dzieci. Ilustr. T. Różankowskiego.	5.—
WILDE O. <i>Bajki.</i> Przekład M. Feldmanowej. opr.	6.—
— <i>Prawdziwy przyjaciel.</i> (Bajki I) 1.—, kart.	1.50
— <i>Rybak i jego dusza.</i> (Bajki II) 1.—, kart.	1.50
— <i>Urodziny infantki.</i> (Bajki III) 1.—, kart.	1.50

W PAMIĘTNYM ROKU WOJNY. Książka zbiorowa. Oprac.		
J. Mortkowiczowa i St. Sempołowska. Ilustr. St Norblina		
	kart.	5.—
ZIELIŃSKI T.	<i>Irezyona. Klechdy attyckie. Serja I</i>	1.60, kart. 2.50
	Serja II	1.60, kart. 2.50
	Serja I i II razem opr.	5.80
ZEROMSKI ST.	<i>Dla młodzieży. Wybór z pism. Książka I.</i>	2.50
	kart.	3.50
	Książka II.	2.50
	kart.	3.50
	Książka I i II razem	5.—, kart. 6.50, opr. 8.—
—	<i>Szyzofowe prace. Powieść</i> 5.50, opr. 8.50
ZURAKOWSKA Z.	<i>Felysz. Opowiadanie dla młodzieży.</i>	
—	<i>Gość z Ameryki. Opowiadania.</i> 1.—, kart. 1.50
—	<i>Pożegnane domu. Powieść</i> 4.—, kart. 6.—, opr. 7.—
—	<i>Pójdziemy w świat. Powieść</i>	2 cz. po 1.—, kart po 1.50
	razem opr.	5.—
—	<i>Roman i dziewiętnastu</i>	Powieść dla młodzieży.
—	<i>Skarby. Powieść.</i> 4.—, kart. 6.—, opr. 7.—
—	<i>Trzy srebrne ptaki. Opowiadania</i> 1.—, kart. 1.50

UWAGA: Podkreślenie oznacza nowości wydawnicze, wydane na gwiazdkę 1929/1930 roku.



1999-01-15

05. 01. 1999

2009-09-02

2013-03-10

2011-05-17

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

17913

